Rok II. *Zeszyt 1.*

MODERATOR

Kwartalnik wyłącznie przeznaczony dla Księży Kierowników Sodalicyj Marjańskich

Styczeń — Marzec, 1930

Wydawnictwo Księży Jezuitów, Kraków, Kopernika 26

WARUNKI PRENUMERATY.

„Moderator“ wychodzić będzie w lutym maju, sierpniu i listopadzie każdego roku, w objętości około 2 arkuszy druku.

Prenumerata całoroczna wynosić będzie wraz z przesyłką w kraju 4 zł., zagranicą 6. zł. — Cena pojed. zeszytu 1·20 zł.

Redaktor i wydawca: *Ks. Jan Rostworowski T. J.*

Od Redakcji.

Zaczynając w imię Boże drugi rok wydawnictwa »Moderatora«, poczuwamy się do obowiązku zrobienia na wstępie kilku uwag.

Gdy w roku zeszłym puszczaliśmy w świat pierwszy zeszyt tego pisemka, zdając sobie sprawę z niemałych trudności tego przedsięwzięcia, prosiliśmy usilnie Księży Kierowników Sodalicyj o łaskawą pomoc. Dziś przychodzi nam stwierdzić — nie w formie wyrzutu, ale jako fakt, godny może pewnej rozwagi — że ta pomoc dostała się nam w udziale w rozmiarach niezmiernie szczupłych. Prenumeratorów zyskaliśmy niespełna 150 (trzebaby mniej więcej trzy razy tyle, by wydawnictwo mogło finansowo związać koniec z końcem); komunikatów nie nadesłano nam prawie żadnych, a z zewnątrz literalnie żadnych; znikąd nie przyszło ani jedno słowo zapytania czy zainteresowania, czy choćby krytyki lub życzenia na przyszłość.

Czyż więc pomyliliśmy się, sądząc, że takie pismo, jak »Moderator« ma jednak jakieś zadanie do spełnienia i może liczyć na życzliwe przyjęcie? Czy może Księżom Kierownikom Sodalicyj co innego było pożądane i potrzebne, niż to, czem spróbowaliśmy im służyć i co mieliśmy zamiar w podobnym duchu i kierunku podawać im na przyszłość?

Co do pierwszego z tych pytań, mimo wszystko, nie chcemy oddawać się pesymistycznym nastrojom. Nie chcemy pogodzić się z myślą, że Kierownikom tak licznych, tak dobrze zorganizowanych i poczęści tak wysoko stojących Sodalicyj polskich może być obojętnem pismo, które chce im służyć jakąkolwiek pomocą w spełnieniu trudnych a ważnych

zadań. Jeżeli jest rzeczą po wiele razy skonstatowaną i codziennem doświadczeniem stwierdzoną, że dobre prowadzenie Sodalicji jest rzeczą bardzo a bardzo niełatwą, jakżeby mógł nie być pożądany organ, który w tej mierze choć jakiekolwiek chce oddawać usługi?

Co się zaś tyczy treści tego organu — trzeba się porozumieć. Studja nad naturą Sodalicji, t. j nad jej ustrojem, rolą moderatora i wydziału, nad sposobem jej działania i t. p. wydają się nam zbyteczne. Jakkolwiek bowiem ten i ów Kierownik może przypadkiem nie być z temi rzeczami tak dobrze obznajomiony, jakby należało, objektywnie rzecz biorąc, te sprawy są doskonale wyjaśnione i w rozmaitych »przewodnikach« zupełnie jasno opracowane. Nie zdaje nam się więc, żeby tym kwestjom wypadało poświęcać dużo miejsca i dlatego dział zatytułowany »Z teorji i praktyki sodalicyjnej« położyliśmy na drugim planie, chcąc w nim omawiać jakieś drobniejsze, czy teoretyczne, czy praktyczne, zagadnienia, niedostatecznie wyjaśnione w ogólnych regułach i ich komentarzach.

Podobnie nie wydaje nam się właściwe ani rozwodzić się w pochwałach Sodalicji, ani też ustawicznie przypominać czem Sodalicja i sodalisi stać się powinni. To są rzeczy bardzo dobrze znane i nieraz do przesytu powtarzane przy różnych sposobnościach. Sądzimy, że mniej potrzebną jest rzeczą ciągłe odświeżanie ideału, zwłaszcza jeżeli jest już bez tego zupełnie jasny, niż wskazywanie w jaki sposób do ideału się zbliżyć.

Otóż w tej mierze uważamy za najważniejsze pewne p o g ł ę b i e n i e naszego sodalicyjnego duszpasterstwa. Pogłębienie — to znaczy polepszenie jego metod, głębsze wniknięcie w potrzeby a nawet odczucia i nastroje dusz dzisiejszych, wskazanie pewnych nowych dróg i pól pracy, zwłaszcza wewnętrznej. Do tego ma służyć dział, do którego przywiązujemy największą wagę, t. j. ten, któremu daliśmy tytuł: »Ze świata i dla świata dusz«. Mamy zamiar roztrząsać w nim cały szereg kwestyj, dotyczących sposobu trafiania do dusz dzisiejszych, prowadzenia ich na te pewne »nowe« drogi, jakie dzisiejsza praktyczna i teoretyczna ascetyka tak pięknie wskazuje, realizowania w nich tego wznio-

szego celu Sodalicji, jakim jest r z e c z y w i s t a, nie kończąca się na pięknych słowach czy uczuciach, doskonałość chrześcijańska.

A wreszcie trzeci dział, bezpośrednio pożyteczny, sodalicyjne przemówienia i referaty. Pożyteczny nietylko w tym sensie, że można się wspomóc pracą drugiego, bo myśl zawsze do myśli pobudza, ale i w tem znaczeniu, że dobrze jest w sodalicyjnej pracy wyjrzeć niekiedy poza opłotki własnego ogródka, by zdać sobie sprawę, jak inni tę robotę pojmują, jak działają i mówią.

Tak przedstawiał i przedstawia się program »Moderatora« w n a s z y c h zamiarach. Czy program ten odpowiada zamiarom Księży Kierowników Sodalicyj — nie wiemy, ale w każdym razie gotowi jesteśmy wprowadzić weń wszelkie pożądane modyfikacje, tak, by istotnie odpowiadał potrzebom.

Jeżeli jednak, w ten lub ów sposób pojęte, ma się to pisemko nasze utrzymać, musimy znowu zwrócić się do Księży Kierowników z kilku prośbami.

Przedewszystkiem chciejmy p r e n u m e r o w a ć. — Księży Moderatorów jest w Polsce pewno więcej niż 500, trzebaby więc koniecznie, jeśli nie wszystkich, to prawie wszystkich w szeregi przyjaciół naszego pisma wciągnąć, by ono mogło jakkolwiek egzystować. W tym pierwszym roku dopłaciła Administracja więcej niż drugie tyle, ile prenumerata wyniosła. Na długą metę byłyby takie stosunki nie do zniesienia.

Powtóre chciejmy d o p o m a g a ć, jeżeli już nie formalną współpracą, to myślą. Cały szereg Księży Moderatorów mógłby nam dostarczyć wybornych przemówień, referatów, szkiców, artykułów nadających się do wymienionych wyżej działów pisma. Komu zaś czas czy inne warunki nie pozwalają na tę wydatniejszą pomoc, może przecież bez wielkiego wysiłku czy jakieś zapytanie przysłać, czy myśl poruszyć lub projekt podać, czy wreszcie jakiemś słowem krytyki czy rady się odezwać. Każdy chyba pojmuje o ile żywsze i pełniejsze byłoby nasze pisemko, gdyby choć w pewnej mierze było w s p ó l n ą Księży Moderatorów mownicą, tem bezpieczniejszą, że przestrzegamy i nadal przestrzegać chcemy, by ten organ tylko aktualnym i przyszłym modera-

torom był dostępny, a nie dostawał się nigdy w ręce członków Sodalicyj.

Z temi prośbami zwracaliśmy się i zwracać się będziemy do niektórych Księży Moderatorów całkiem indywidualnie, ale gorąco pragniemy, by i ten ogólny apel nie pozostał głosem wołającego na puszczy. Niedawno czytaliśmy z pociechą w jednem z pism sodalicyjnych polskich chlubne dla nas zdanie obcego kapłana, a jednego z najlepszych dzisiaj znawców tej dziedziny: »Polonia docet!« Oby to piękne świadectwo dla naszego sodalicyjnego dzieła było w pełni uzasadnione, a uzasadnione także tem, by Polska wspólnym wysiłkiem stworzyła i utrzymała organ Księży Moderatorów jako takich!

Redakcja.

Ze świata i dla świata dusz

Przemowa sodalicyjna, jako szkoła nowego kaznodziejstwa.

W pewnej nowej książce francuskiej — z umysłu nie wymieniam jej tytułu — czytamy następujący dłuższy ustęp, bardzo a bardzo zasługujący na rozwagę.

Autor mówi wogóle o braku prostoty w rozmaitych kierunkach produkcji literackiej. Poświęciwszy najpierw kilka trafnych uwag literatom i uczonym,[1] zwraca się dalej z taką apostrofą do nas kapłanów:

»Niech mi wolno będzie powiedzieć też słowo o kołach klerykalnych, które zadufane w odwieczne posiadanie prawdy, lekceważą nieraz rzeczy, które wydają im się mało ważnym przydatkiem. Tak naprzykład lekceważą dostosowywanie sposobu wyrażenia do zmienionych warunków, to znaczy takie jego odnawianie, by słowa istotnie odpowiadały naszym żywym pojęciom. Może być, że też niedosyć cenią sobie tę pokorę, która, żeby zniżyć się do bliźniego, umie ugiąć nieco twardą sztywność swej wiary. A może też za mało starają się o tę miłość, która sama jedna zdolna jest do najróżniejszych odmian charakterów i usposobień zastosować najłagodniejsze, ale też i najskuteczniejsze środki

---

1. Warto i z apostrofy do uczonych przytoczyć słów kilka: »...Ils parlent pastiche, comme si c'était naturel... Ils vous présentent des phrases encombrées, recroquevillées, dont ils semblent chérir les ambages. De là d'abord obscurité. De là, même dans la clarté, une impression de gêne. On dirait qu'ils parlent toujours par-dessus la tête de quelqu'un. Monsieur le professeur, c'est à moi que vous vous adressez. Déposez, je vous prie, ces circonvolutions de pensées, ces allusions tangentes, qui m'échappent. Déboutonnez-vous et nous causerons...«

działania. I dlatego, że o to wszystko nie zdają się dosyć dbać nasi kapłani, wychodzą z ich szeregów pisarze gruntownie wprawdzie wykształceni i głoszący w swych pismach nauki prawdziwie wyborne, ale takie nauki, które rzucane w obojętny świat, nie łączą się z jego psychicznem życiem. Co najwięcej trafiają one do środowisk, zarażonych takim samym archaizmem, jaki cechuje ich autorów. Dlatego też — pomijam tu oczywiście działanie łaski, która jest tak potężna, że nawet nudę przebija — ci pisarze walczą, ale broń, jaką wymachują, nikomu ran nie zadaje, bo nikt nie podejmuje wyzwania, a niepodobna przecież długo bić się samemu. Jeżeli zaś ci szermierze zorjentują się w swej izolacji — nieraz dużo trzeba, by się na niej poznali — skarżą się gorzko na »przewrotność świata«. Czemuż jednak do tego świata nie przemówili jego własnym, a nie swoim, językiem? Czemuż razem z językiem nie starali się odnowić w swem wnętrzu tego starego składu uczuć, wyobrażeń i pojęć, który wynieśli niegdyś z murów swej szkoły i który tylko w tej szkole może mieć właściwe zastosowanie?

Są więc środowiska intelektualne — trzeba to otwarcie przyznać — w których prostota jakby z natury rzeczy zanika. Można nawet prawie ogólnie powiedzieć, że szkoła zawodowa pod pewnym względem człowieka wzbogaca, dając mu możność robienia rzeczy lepiej, ale pod innym względem przypadkiem go uboży, dyspensując go od samodzielnego myślenia. Skutkiem tego, kiedy, mimo wszystko, trzeba p o m y ś l e ć, myśleć prawdziwie już się nie umie. A nic już tak przerażająco nie zniekształca talentów, jak właśnie te zawody, po których można było tego najmniej oczekiwać, to znaczy zawody fachowo literackiej produkcji. Co do mowców politycznych, powieściopisarzy, feljetonistów i t. p. doszliśmy już do takiego stanu rzeczy, że, aby powiedzieć dobrą mowę, trzeba przedewszystkiem n i e b y ć politykiem i żeby powiedzieć dobre kazanie trzeba n i e b y ć kaznodzieją. Sztuka zabija c z ł o w i e k a, a rzemiosło pożera resztki indywidualności i prawdy.

— — — — — — — — — — — —

Nie, nie mamy prostoty. To jest wielkie zło, którego uczę się coraz bardziej nienawidzić w tej szkole, do której

codzień uczęszczam, a która jasno wskazuje prawdziwe źródła choroby: Nie mamy prostoty, bo jesteśmy próżni i źli. Próżność to wada, której pierwszym owocem jest, że zapominając o naszej rzeczywistej wartości, staramy się przystroić w pożyczane barwy. Byle tylko się podobać! Boimy się wyjść na widownię z naszą własną myślą, bo ona wydaje się nam taka naga i tak niewytrwała na zimno. Ubieramy ją więc aż do uduszenia, by mogła pokazać się w świecie. Otóż prawdziwy pisarz, prawdziwy mowca jest pokorny. Być może, że jest on ambitny, że jest miłośnikiem sławy, ale żeby był próżny, to się nie da pomyśleć. On dopiero wtedy będzie godny samego siebie, gdy stanie mu się zupełnie obojętne, co świat o nim myśli. Nie będzie on przywiązywał wagi do form konwencjonalnych, któremi posługuje się publiczność, jak zdawkową monetą. Mówiąc czy pisząc, nie będzie stawał na piedestale, jak ci co chełpią się swym tytułem. Nie będzie się też poddawał nikomu, tylko własnej myśli i jej przedmiotom. Będzie ubogi, ogołocony, bez pamięci o sobie, bogaty tylko bogactwem własnej duszy. Nie będzie się troszczył ani o przeszłość ani o przyszłość. Tak zanurzy się w chwili obecnej, jak nurek wydobywający perłę z głębiny. Stanie się podobnym do małego dzieciątka. »Jeśli się nie staniecie jak ci najmniejsi, nie wnijdziecie«. Słuchajmy tych słów wypowiedzianych na progu królestwa Bożego, bo one też uczą, jak przechodzić przez tę ziemię«.[2]

---

2. On me permettra bien aussi de noter le milieu clérical, qui se prévaut d'une longue possession de la vérité pour négliger ce qui leur paraît l'accessoire. Et ce qu'ils négligent, c'est la mise au point, le renouvellement nécessaire, dans leur expression, de nos conceptions vivantes. Peut-être que c'est aussi l'humilité de condescendre au prochain en contrariant une certaine raideur de leur foi. Et peut-être encore que c'est la charité, qui seule leur suggérerait d'aimer, dans tant de variétés que la nature nous présente, les moyens les plus souples et les ressorts les plus actifs du bien. C'est peut-être tout cela qu'ils négligent. — De ce milieu sortent nombre d'écrivains doués d'une formation solide et propagateurs de l'excellent, et dont les oeuvres cependant jetées dans un monde indifférent, y demeurent amorphes; elles ne prennent que dans le milieu affecté du même archaïsme que le leur. Ils luttent. Avec leurs armes de combat, ces guerriers font peu de mal, parce que personne autour d'eux n'accepte la lutte, et qu'on

Pomijając różne rzeczy, które do naszego przedmiotu nie mają bezpośredniego zastosowania, nie możemy chyba

---

ne peut se battre longtemps tout seul. Je dis ceci en laissant à part l'action de la grâce, une force qui se joue de tous les moyens et transperce même l'ennui. — Mais eux, quand ils en viennent au fait de leur solitude, s'ils s'en aperçoivent, ils accusent la perversité du monde. Que n'ont-ils parlé au monde sa langue plutôt que la leur; et avec la langue, que n'ont-ils renouvelé ce vieux stock d'imagination, de sentiments et d'idées qu'ils tiennent de l'école et qui ne trouve son emploi que dans l'école. — Il y a donc, il faut le reconnaître, des milieux où la simplicité se corrompt. En général, le milieu professionnel enrichit l'individu en lui permettant de mieux faire, et parfois, par accident, il l'appauvrit au point de vue spéculatif, en le dispensant de penser. Et alors, quand on doit tout de même penser, on ne le peut plus. Par-dessus tout, ce sont les milieux de profession littéraire qui déforment, d'autant plus monstrueusement, qu'on s'y attendait moins. Orateurs politiques, romanciers, feuilletonistes, nous en sommes à un point où il semble que pour faire un bon discours politique, il faudrait avant tout ne pas être politicien, et pour faire un bon sermon, ne pas être prédicateur. L'art tue l'homme, et le métier dévore ses restes.

— — — — — — — — — — — —

Non, on n'est pas simple. C'est là un grand mal, que j'apprends tous les jours à détester à l'école que je fréquente, parce que la vraie cause de ce mal y est enseignée clairement; et je vais vous la dire: nous ne sommes pas simples, parce que nous sommes vaniteux et méchants. La vanité est un vice dont le premier résultat est de nous faire oublier notre vraie valeur pour nous parer d'une apparence d'emprunt. Vite, allons, il faut plaire. On craint pour sa pauvre pensée frileuse et nue; on l'affuble, on l'étouffe, pour qu'elle puisse aller dans le monde. Or le véritable écrivain, le vrai poète est humble. Il peut être nourri d'ambition, un amant de la gloire, mais je ne le conçois pas vaniteux. Il ne sera digne de lui qu'en négligeant totalement ce que le monde pense. Il n'attribuera aucune valeur aux formes conventionnelles dont le public se sert comme de monnaie courante. Il ne se haussera pas sur le piédestal de sa profession en parlant ou en écrivant comme ceux qui portent un titre. Il ne se soumettra qu'à sa pensée, et à l'objet de sa pensée. Il sera pauvre, nu, sans mémoire, riche de son âme seule. Il ne songera ni au passé ni à l'avenir. Il se jettera dans son moment présent, comme le plongeur qui ramène sa perle. Il sera petit comme un enfant. »Si vous ne vous faites semblables à ces petits, vous n'entrerez pas«. Ecoutons ces paroles prononcées au seuil du royaume de Dieu, elles nous serviront pour traverser la terre«.

nie przyznać, że powyższa krytyka dotyka bardzo trafnie kilku głębokich ran naszego kaznodziejstwa. Bo przedewszystkiem któż nie czuje, jak często, jak prawie zawsze, zbywa naszym kazaniom na tak potrzebnej i słusznie dziś cenionej p r o s t o c i e? Któż nie zdaje sobie sprawy, że zwłaszcza wtedy, gdy przemawiamy do inteligencji, posługujemy się nieraz językiem i zasobem pojęć, który u słuchaczy nie budzi żadnego oddźwięku? Któż nie widzi, że nasze słowa przechodzą w wielu wypadkach gdzieś ponad głowami albo obok rzeczywistego życia serc i umysłów i dlatego ani wtedy, gdy pouczają, ani wtedy gdy walczą lub gromią, nie odnoszą prawdziwego owocu?

Otóż wydaje się nam, że ten pewien *genre* kaznodziejski, jakim jest przemowa sodalicyjna — mam tu na myśli tylko przemowę ściśle duchowną, miewaną od ołtarza w kaplicy — jest bardzo dobrym sposobem ćwiczenia się w pewnym nowym typie wymowy kościelnej, do którego prawdopodobnie przyszłość należy.

Ale że ta myśl wymaga szerszego rozwinięcia, pozwolimy sobie sięgnąć nieco głębiej do pewnych zjawisk, które warto poddać dokładniejszej analizie.

Że słowo Boże musi mieć swój styl i charakter, od mowy potocznej czy naukowej rozprawy bardzo różny, to rzecz zupełnie jasna, która żadnej wątpliwości nie ulega. Co innego jednak jest różność, co innego taka jakaś odległość od rzeczywistego życia, że słowo, lubo wchodzi w umysły, przestaje już poruszać w sercu te struny, które są w bezpośrednim związku ze sprężynami wewnętrznemi uczuć i czynów. Otóż niestety aż nazbyt często się zdarza, że kaznodzieje, nie poprzestając na tem, by mówić i n a c z e j, niż w potocznej mowie, to znaczy tonem poważniejszym, szlachetniejszym i wyższym, z chwilą, kiedy stają na ambonie, wpadają w ton zupełnie o d e r w a n y o d ż y c i a, ton taki jakiś nienaturalny i jakby nieszczery, że on z rzeczywistemi uczuciami dusz niewiele więcej się łączy, jak woda z oliwą. Często narzekamy, że nasi wierni nie wprowadzają swej wiary w praktyczne życie i że są jakby innymi ludźmi w kościele, innymi wśród zwykłych swoich myśli i zajęć. Wartoby dobrze się zastanowić, czy jedną z przyczyn tego smutnego a niezaprze-

czonego zjawiska nie jest to właśnie, że w kościele karmimy naszych wiernych takim sposobem mówienia, a nawet taką treścią naszych przemówień, że w konkretnem, realnem życiu nie mogą one obudzić ani zainteresowania ani wogóle żadnego oddźwięku. Jak nasze zakrystje miewają swoistą, nigdzie indziej nie spotykaną woń, złożoną z resztek dymu trybularza i wiecznej lampki, ze stęchlizny niewietrzonych aparatów i z pewnej grobowej atmosfery nigdy prawie nie odświeżanego powietrza, tak ton wielu naszych kazań miewa w sobie coś zupełnie szczególnego i niesamowitego, co od całej reszty życia ludzkiego odbiega.

Cóż na wytworzenie tego tonu się składa?

Składają się bardzo różne rzeczy, które warto może nieco dokładniej rozebrać.

Przedewszystkiem — trzeba to powiedzieć szczerze — jednym z głównych powodów tego nienaturalnego tonu kazań jest brak dostatecznie głębokiego przekonania i przejęcia. Mówi się nie nato, żeby żywym duszom ludzkim istotnie dopomóc, ale żeby kazanie »wygadać« i zbyć się w ten sposób nieprzyjemnego i nieco denerwującego *pensum*, mówi się bez poprzedniego rozmyślania, a więc bez pewnej świeżości nadprzyrodzonego zapału, mówi się często rzeczy zupełnie nie swoje, a więc z własną psychiką nie zlane i we własną substancję duchową nie przemienione, ale żywcem zapożyczone od innego kaznodziei. Każdy pojmuje, że choćby nawet żadne inne przyczyny w grę nie wchodziły, to już te obficie wystarczą, by wielu kazaniom nadać pewien ton trochę sztuczny czy fałszywy, który do głębi serc nie przenika.

Niestety jednak są jeszcze inne przyczyny.

I tak sam sposób, w jaki urabia się światek i nastraja się aparat wewnętrzny przyszłych pracowników ambony, bynajmniej nie sprzyja wytworzeniu w nich zdolności do kontaktu z życiem. Bo pomijając już nieodzowne w ich wykształceniu, a nie dość transponowane na nowożytne pojęcia i wyrazy, kategorje szkolnego, filozoficznego i teologicznego myślenia, pomijając równie nieuniknioną trudność zaznajomienia młodych kandydatów do kapłaństwa z żywą rzeczywistością ludzką, wyrabiają się w nich automatycznie różne rzeczy, pozytywnie przeciwne pewnej zdrowej współczesno-

ści, zdolnej do poruszania konkretnych dusz. Styl ich, oczywiście nie dość wyrobiony w szkole średniej, nietylko nie nabiera pewnej kultury i finezji, jaką wogóle dają uniwersyteckie studja i żywszy kontakt z literackim światem, ale p s u j e s i ę pod wpływem rozmaitych staroświeckich książek duchownych, banalnych kazań i pewnego dość ciasnego repertuaru słów, używanych zwykle w klerykalnych środowiskach. Zamiast żywej mowy swego czasu, znajduje potem młody kapłan na ustach jakiś dziwny amalgam wyrażeń, potrochu biblijnych, potrochu tchnących jakimś barokiem XVII czy XVIII wieku, potrochu dziś już wytworzonych, ale chyba nato tylko, by mogły ponad głowami słuchaczy przepłynąć. Do tego stylu takeśmy przywykli, że nie uświadamiamy sobie nieraz jego nienaturalności, ale niech się trafi, co czasem miewa miejsce, że jakiś prosty wierny, w najlepszej zresztą intencji, zacznie nam żywcem powtarzać poza kościołem, słyszane gdzieś kazanie, nagle otwierają nam się oczy: jakie to wszystko niepodobne do życia i jak do niego, zwłaszcza u ludzi inteligentnych, trafić nie może.

Gorsza rzecz, że jak psuje się styl, tak też psują się pojęcia. Psują się — to znaczy nie robią się jakieś błędne czy moralnie niedobre, ale robią się nieżywe, robią się obce dzisiejszemu światu, nietylko w taki sposób, w jaki zawsze b ę d z i e nie z tego świata nauka ewangelji, ale w taki sposób, w jaki n i e p o w i n n o być obce słowo Boże, jeśli jego głosiciel ma się stać »w s z y s t k i e m d l a w s z y s t k i c h«. W tych pojęciach zbiera się magazyn najrozmaitszej starzyzny: naiwności zapożyczonych z dawnych żywotów świętych, pewnej ciasnoty specyficznie własnej kapłańskim książkom i organom, nieufności i niechęci do kulturalniejszych środowisk świeckich ludzi, poglądów na życie wyrobionych wedle abstrakcyjnej moralnej teologji. Pod wpływem tych i innych jeszcze czynników psychika kapłańska nabiera cech tak swoistych a do otaczającego świata niedostosowanych, że konieczna przecież między nią a światem czyto dyfuzja czy osmoza, robi się prawie niemożliwa. Nieraz czuć nieomal namacalnie, że tej lub owej grupie kapłanów jest dobrze i swojo i swobodnie tylko we własnem ciasnem gronie, albo co najwięcej z gromadką ludzi, którzy już do

tego środowiska przywykli i z niem się zżyli, a że jest im zupełnie obco i dziwnie wśród ludzi »tego świata«, nawet takich, u których to słowo nie oznacza bynajmniej światowego zepsucia, ale tylko światową, nowoczesną kulturę.

Do dwóch tych czynników, które już same przez się nadają naszej produkcji kaznodziejskiej jakieś archaiczne, od realnego życia dalekie formy, przyłącza się aż nazbyt często trzeci czynnik, dopełniający bardzo nieszczęśliwie a bardzo skutecznie oderwanie wymowy kościelnej od świata żywej współczesnej myśli. Czynnikiem tym jest wygłoszenie. Niemało kaznodziei, zaledwie staną na ambonie, wpada w taki jakiś nienaturalny patos, w taki sposób mówienia, który Niemcy słusznie piętnują jako *Rednerton*, że odrazu zaczynają mówić gdzieś w przestrzeń, ponad głowy, a nie do żywych konkretnych serc. Prawda, że przy koniecznem w dużym kościele podniesieniu głosu, bardzo trudno tego tonu uniknąć; prawda, że jedną z jego współprzyczyn bywa pewna nieśmiałość, uciekająca się do krzyku dla pokrycia emocji, albo towarzysząca mówieniu obawa, by pamięć nie zawiodła, ale w rezultacie przynosi ten fałszywy patos fatalne owoce. Mowca przestaje być sobą, traci swobodę myśli i ten kontakt ze słuchaczami, który najlepiej uczy co i jak powiedzieć, deklamuje w powietrze zamiast mówić do tych ludzi, których ma przed sobą. To też z takich kazań wychodzą wierni albo obojętni, albo oszołomieni na chwilę, ale nie poruszeni i nie pouczeni naprawdę w tej sferze duszy, w której rozgrywa się ich rzeczywiste życie. Czasem nawet wychodzą wprost zdegustowani, bo w głębi dzisiejszych dusz jest ogromna potrzeba prostoty, także w sposobie podawania prawd religijnych, jeżeli więc zamiast tej prostoty spotykają sztuczność odzywającą się z jakichś koturnów, odczuwają pewien żal i przykrość.

A co w tem wszystkiem najgorsze, to to, że nikomu nie jest tak trudno poprawić się z pewnych braków i przywar w mówieniu, jak księdzu. Świecki człowiek w ciągłej wymianie myśli z równymi sobie, w częstej dyskusji, w możności spotkania sprzeciwów, z konieczności szlifuje się i wyrabia. Kapłan stojący za niezdobytym szańcem ambony, kapłan, któremu nikt nigdy nie może nietylko zakontrować lub

przerwać, ale nawet po skończonem kazaniu coś wytknąć, kapłan, który przez swój charakter nauczyciela i pasterza wyniesiony jest wysoko nad całą gromadę poniżej stojących owieczek — ten kapłan bywa praktycznie nieomal niepoprawny, nie dlatego, jakoby poprawić się nie chciał, ale dlatego, że nie ma ani warunków życia, których poprawa wymaga, ani tego, któryby tej poprawy mógł się podjąć. A nieraz bywa i to — da się to stwierdzić częstem doświadczeniem — że przez ten pewien autorytaryzm, który przy ich urzędzie i stanowisku łatwo się wyrabia, stają się kapłani bardzo drażliwi na wszelką kontradykcję czy krytykę i dlatego tem trudniej dają się uleczyć ze swych kaznodziejskich niedostatków.

Nad tem wszystkiem jednak nie chcemy rozwodzić się zbyt szeroko, poczęści dlatego, że są to rzeczy dobrze znane, poczęści zaś, że do naszego przedmiotu należą tylko ubocznie. Na pierwszem miejscu chodzi nam o to, by pokazać, jak bardzo nadaje się ten typ przemówienia, jakiem jest nauka sodalicyjna, do uniknięcia wszystkich prawie, wyżej dotkniętych błędów kaznodziejskich, a przez to do wyrobienia takiego stylu homiletycznego, jaki nowym potrzebom i odczuciom odpowiada.

Przedewszystkiem tedy — żeby zacząć od końca — w nauce sodalicyjnej odpada zupełnie niebezpieczeństwo tego fałszywego patosu, tego niemiłego *Rednerton*, który nie pozwala słowom wnikać cicho do serca, ale skazuje je zgóry i to w sposób nieunikniony na to, by były jakiemś »chłostaniem powietrza« czy głosem »brząkającej miedzi«. Nauki sodalicyjnej nie mówi się w wielkim kościele ani z wyżyn ambony, więc niema nietylko potrzeby, ale nawet możliwości tego podnoszenia głosu, które tak łatwo zamienia się w jakąś nienaturalną deklamację, przechodzącą ponad głowami słuchaczów. Mowca nie jest oddzielony od wiernych jakąś niedostępnością uroczystej powagi, ale nieomal wmieszany jest pomiędzy nich i ma ich tak blisko siebie, jak ten pierwszy i najwyższy kaznodzieja chrześcijański, który nauczał »stojąc na polu«, otoczony »rzeszą uczniów i mnóstwem wielkiem ludu ze wszystkiej żydowskiej ziemi«.

A nie trzeba sądzić, że to jest mała rzecz owo fizyczne zbliżenie i zniżenie do słuchaczy. Ono ma bardzo wielkie znaczenie i w tem, od czego dyspensuje i w tem, do czego przymusza. Dyspensuje, jak już wspomnieliśmy, od natężenia głosu i podobnież od zbytnich gestów, albo pewnego gwałtownego ferworu, który w kaplicy, wobec niewielkiego grona, byłby zupełnie nie na miejscu; usuwa też możliwość i potrzebę tej retorycznej *grandiloquentia*, która tak łatwo poświęca prawdziwą treść dla wybujałej i napuszonej formy. Ale uwalniając mowcę od pewnej kategorji wysiłków, zbliżenie do słuchaczy przymusza go do innych i to trudniejszych.

I tak zupełna prostota zewnętrznej formy nauki sodalicyjnej żąda koniecznie, i to z kilku powodów, dużo staranniejszego, niż w przeciętnem kazaniu, opracowania podawanej słuchaczom myśli. Bo przedewszystkiem tutaj, w kaplicy sodalicyjnej, żadne słowo nie ujdzie uwagi skupionej koło mowcy, przeważnie inteligentnej i wyrobionej duchowo gromadki. Wątek nauki, który w kazaniu może być nieco mniej ścisły, bo i tak bardzo mało kto z rzeszy wypełniającej kościół go pochwyci, tu musi być narysowany i przeprowadzony jasno. Luki czy niedokładności w rozwinięciu tematu nie dadzą się tu skompensować czy zatrzeć jużto dykcją, jużto gestem, jużto innemi sposobami oddziaływania na wyobraźnię. W nauce sodalicyjnej, jednem słowem, czynną jest tylko myśl, pozbawiona nieomal wszystkiego, co bywa na ambonie jej dekoracją, czy uplastycznieniem, czy podporą i dlatego ta myśl, pod grozą zupełnego chybienia celu, musi być istotnie przemyślana i należycie wykończona.

Ale powtóre ona nie może żadną miarą obracać się w jakichś nieokreślonych ogólnikach, każdemu mniej więcej odpowiednich i dlatego do żadnego wieku ni stanu szczegółowo nie zastosowanych. W kaplicy sodalicyjnej bowiem nie ma się przed sobą mieszanego, zebranego ze wszystkich warstw społecznych, tłumu, ale zamknięte i najściślej określone grono, jednej płci, jednego stanu i zawodu, jednego poziomu inteligencji, często bardzo, prawie jednego wieku, a grono, którego zna się skądinąd psychikę, potrzeby, aktualne odczucia, stopień duchowego rozwoju, niebezpieczeń-

stwa i trudności. Przemawiając więc do takiego audytorjum, z jednej strony można, z drugiej trzeba koniecznie nadać swej nauce zupełnie konkretne, ściśle określone cele i kierunki i nastroje, bo w przeciwnym razie będzie się mówić jakby nieosobowo, z małym lub żadnym owocem. Przy naukach więc sodalicyjnych jest rzeczą jeszcze ważniejszą niż kiedy indziej zdać sobie doskonale sprawę z tego, co dla tej Sodalicji jest pożyteczne lub wskazane, co już mówiono a co jeszcze było pominięte, jak rzecz ująć, by trafić nietylko do upodobania, ale zwłaszcza do duszy słuchaczy. Każdy pojmuje, że nie da się tego osiągnąć bez starannie przemyślanego planu nauk. Jeżeli jeden kaznodzieja, mówiący w jednym i tym samym kościele, powinien koniecznie nakreślić sobie pewien program kazań, inaczej będzie się błąkał bez celu po rozległej łące bożego słowa, to taki program jest jeszcze dużo nieodzowniejszy moderatorowi Sodalicji, jeśli nie ma stracić na darmo dużo czasu, dużo sposobności do dobrego, dużo dobrej woli słuchaczy, by odnieść potem jako jedyny owoc niechęć i nudę.

A czy potrzeba dodawać, że w tem szukaniu odpowiedniej treści mowca sodalicyjny skazany jest głównie, jeśli nie wyłącznie na własną swoją myśl i inwencję? Do kazań kościelnych mamy już nieomal nieskończoną ilość wzorów; tylko ręką sięgnąć, a znajdzie się przeróżne i to bardzo dobre, czy zbiory przemówień, czy pomocnicze podręczniki i tak zwane bibljoteki homiletyczne. Z naukami sodalicyjnemi rzecz się ma inaczej. To jest *genre*, który dopiero się doskonali, wielkich poprzedników w nim niema wielu, trzeba samemu dobrze pomyśleć a nawet popróbować i ćwiczyć się, by wpaść w odpowiedni ton i sposób. A nawet choćby się w cudzej nauce myśl pomocną znalazło, nauka sodalicyjna, jak wspomnieliśmy wyżej, jest i z natury swojej być musi, tak szczegółowo zastosowana do danego grona słuchaczy, że jest prawie niepodobna żywcem podać jej myśl cudzą, a nie stać się przez to bezbarwnym i banalnym.

A wreszcie nauka sodalicyjna wymaga dużo bardzo ducha namaszczenia i gruntownej pobożności moderatora. Celem jej bowiem nie jest, jak w kazaniu zwyczajnem, ja-

kiekolwiek odrywanie od występków i wskazywanie dróg chrześcijańskiej cnoty, ale zdecydowane prowadzenie na wyżyny tych, co w Sodalicji szukają rzeczywistej doskonałości chrześcijańskiej. Dlatego więc w tę skromną, prościutką formę, w te ciasno odmierzone chwile — dla nauki sodalicyjnej zupełnie wystarcza dwadzieścia minut, a ostatnią możliwą jej granicą jest pół godziny — trzeba starać się włożyć tyle ducha, żeby móc istotnie oświecać i zapalać. Czy się uczy bardziej dogmatycznie, czy rozwija się zasady ascezy katolickiej, czy się upomina albo nawet karci, zawsze powinni czuć słuchacze, że to idzie z pełnego, kochającego Boga i dusze, doświadczalnie obeznanego z nadprzyrodzonym światem umysłu i serca. A do tej *ostensio spiritus* prawie nic się tak nie nadaje jak to ciche, proste słowo, mówione od sodalicyjnego ołtarza, jak ta poufała bliskość mowcy i jego słuchaczy, która pozwala nieomal wzrokiem sięgać w ich wzrok i niejako dotykać wprost ich duszy. Nie przeszkadza tu wysiłek głosu, nie przeszkadza retoryczna forma ani brzmiąca frazeologja i wystudjowany gest — myśl może trafiać wprost do myśli i serce do serca. Kto raz prawdziwie zakosztował wdzięku i skuteczności sodalicyjnych przemówień, ten powie sobie że niema chyba idealniejszej formy do komunikowania duszom jasności i słodyczy nieogarnionych tajemnic Bożych.

Zdaje się nam dlatego, jak zaznaczyliśmy w samym tytule niniejszego artykułu, że nauka sodalicyjna jest szkołą nowego kaznodziejstwa, że do tego typu przemówień należy przyszłość. A nie znaczy to bynajmniej, żeby przemawianie do wielkich rzesz z ambony kościelnej miało zupełnie wyjść z użytku i ustąpić miejsca skromnej, prostej nauce. Owszem wielkie, dawnego stylu kazania z pewnością będą miały zawsze zastosowanie, bo pewne formy i objawy zbiorowego katolickiego życia bez nich obejść się nie potrafią. Ale chcemy powiedzieć i z głębokiego przekonania twierdzimy dwie rzeczy. Jedna to ta, że obok wielkich kościelnych kazań będą się coraz bardziej mnożyć dla rozmaitych zorganizowanych grup katolickich owe skromne, prywatne nauki i że one przedewszystkiem, jak ciche deszcze, w przeciwsta-

wieniu do gwałtownej ulewy, będą dopomagać kwiatom, posianym przez Boga na roli dusz do duchowego wzrostu. A powtóre śmiemy spodziewać się i pragnąć, by nawet te wielkie, z ambony mówione kazania coś jednak zapożyczyły z typu sodalicyjnej nauki. Pragniemy i pragnie tego wiele dusz, by były krótsze, prostsze, mniej retoryczno-deklamatorskie, a zato pełniejsze treści a przedewszystkiem ducha. Poczęści bowiem już nadesła, poczęści bezwątpienia nadchodzi taka epoka, do której można odnieść sparafrazowane słowa Pana Jezusa do Samarytanki: Wierzaj mi niewiasto, że przychodzi godzina i teraz jest, w której prawdziwi słudzy Boży będą chcieli słuchać o Ojcu w duchu i prawdzie. Nie pomoże już żadne piękne słowo, żaden gest, żadna »sztuczka« kaznodziejska: kto będzie chciał do dusz istotnie trafić, będzie musiał z własnej duszy wydobyć akcenty żywej i życiowej prawdy i przybrać je w najpiękniejszą ze wszystkich szat, w szatę prostoty.

Ale czy może zawsze tak nie było?

W pewnej mierze było tak zawsze i zawsze będzie, bo jak świeca od świecy, tak duch od ducha jedynie się zapala. Ale mimo to nie da się zaprzeczyć, że postęp i to rzeczywisty postęp ludzkości powoli przesuwa punkt ciężkości mowy z formy na treść i od czystej sztuki do ducha i myśli. Żeby się o tem przekonać, proszę tylko porównać epokę baroku, który niegdyś wszechwładnie panował w całej dziedzinie ludzkiej produkcji i dziś jeszcze w archaicznych kazaniach resztki swych triumfów obchodzi, proszę tę epokę porównać z tem, czego dzisiejsze dusze żądają i co do nich prawdziwie przemawia. Każdy chyba przyzna, że uszliśmy pod każdym prawie względem bardzo dużo drogi. Jak nie możemy dziś stawiać na naszych ołtarzach wspaniałych, ale tak dziwnie niespokojnych i wystudjowanych figur Berniniego, ale zamiast nich stawiamy prościutkie, ciche statuy Serca Jezusowego czy Niepokalanego Poczęcia, tak w tem, co do duszy naszej ma przemawiać o Bogu i wiecznym żywocie nie możemy już znieść frazeologji i deklamacji, ale tylko szczerą, spokojną prawdę.

I nie mylimy się w tem odczuciu, bo Bóg, który przy całem swem bogactwie, jest najprzedziwniej prosty, gdy wymaga od zwolenników królestwa Bożego »dziecięcej« duszy, bezwątpienia chce w niej widzieć przedewszystkiem to, czem małe dziecko głównie się odznacza, to jest p r o s t o t ę myśli i serca.

Ks. Jan Rostworowski T. J.

Z teorji i praktyki sodalicyjnej

Czy da się pomyśleć prawdziwa Sodalicja kapłanów?[1])

Chcemy tu roztrząsnąć możliwość, jak sam tytuł wskazuje, nie jakiejkolwiek Sodalicji kapłańskiej, ale Sodalicji prawdziwej. Wiadomo nam bowiem bardzo dobrze, że istniały, a może jeszcze gdzie niegdzie istnieją tego rodzaju Sodalicje (jeśli wogóle można im nadać to miano), które na członków swych, kapłanów, nie nakładały innych praw ani zobowiązań, poza tem jednem, że w szematyzmie diecezjalnym dopisywano niektórym do nazwiska litery S. M., co oznaczało u wtajemniczonych: *Sodalis Marianus.* To oczywiście może być bardzo piękne i miłe, ale nie o to nam chodzi. Chcemy rozebrać pytanie czy możliwą jest praktycznie Sodalicja kapłańska w sensie zupełnie ścisłym: z moderatorem, wydziałem i całą organizacją, z zebraniami i wszystkiem, co wogóle do Sodalicji przynależy.

Że teoretycznie nic tej rzeczy nie stoi na przeszkodzie, to zdaje się być jasne. Czemużby bowiem nie mogli kapłani, jak łączą się w różne inne stowarzyszenia, tak związać się w zrzeszenie, poświęcone szczególnej czci Matki Najświętszej i pracy nad udoskonaleniem własnem? Byłoby to chyba rzeczą zupełnie niezrozumiałą, gdyby między charakterem czy stanowiskiem kapłańskiem a Sodalicją miała zachodzić jakaś nieprzejednana opozycja.

Rzecz oczywista jednak, że co innego teorja, co innego praktyka. W praktyce bowiem może rzecz, abstrakcyjnie możliwa, natrafiać na tyle trudności i przeszkód, że mimo najlepszej woli wykonać się nie da. Spróbujemy tedy najpierw zdać sobie sprawę, jakieby to były główne trudności, na jakie w praktycznem życiu Sodalicja kapłanów mogłaby natrafiać, a powtóre roztrząsnąć pytanie czy i jakie na te trudności dałoby się znaleźć lekarstwo.

---

1. Uwagi niniejsze zamieszczamy tu jako pewną nieśmiałą propozycję, dla której bardzo pragniemy tego światła, jakie zwykła przynosić rzeczowa dyskusja. Dodajemy tylko, że do poruszenia tego tematu pobudziła nas zachęta z bardzo kompetentnej strony.

Co się na pierwszem miejscu nasuwa jako główny i najpoważniejszy zarzut, to brak czasu. Któż bowiem nie wie, jak ogromnie są przeciążeni kapłani, czyto ciężarem bezpośrednich obowiązków duszpasterskich, czy nauczaniem w szkołach, czy prowadzeniem stowarzyszeń i mnóstwem innych funkcyj! Gdzież tu czas znaleźć na miesięczne zjazdy sodalicyjne i na opracowywanie nieodzownych referatów? A potem — gdzież odbywały się te zebrania tak, żeby bez wielkiej trudności mogli na nie przybyć księża, rozsypani po odległych nieraz parafjach? Czy zresztą da się to w praktyce pomyśleć, by zebrania były tak pełne i interesujące, aby rzeczywiście przyciągać członków kapłanów z tak wielką z ich strony ofiarą?

A dalej inne trudności, bardziej psychologicznej natury. Czy dojrzali, posiwiali nieraz w pracy duszpasterskiej księża będą chcieli poddać się kierunkowi jednego z pomiędzy siebie, jako moderatora? Czy tym ludziom i spracowanym i przywykłym do pewnego kapłańskiego indywidualizmu, nie będzie wydawać się jakąś dziecinną zabawką powrót do organicznych form sodalicyjnego życia, do konsult, wyborów, referatów i dyskusyj? Czy wydobędzie się jeszcze ze zmęczonych serc tyle świeżości, aby to wszystko mogło się przyjąć i utrzymać?

Nie przeczymy, że są to trudności bardzo realne, ale nie możemy wyrobić w sobie przekonania, jakoby były rozstrzygające. Mamy owszem wrażenie, że wydają się one jeszcze większe, niż są w rzeczywistości i że roztrząśnięte zbliska, bardzo znacznie stracą na sile.

Żeby się o tem przekonać, wyjdźmy z jednego, bardzo znanego i coraz powszechniejszego faktu. Jak każdemu wiadomo, w coraz większej liczbie diecezyj szerzy się pobożna, tak usilnie przez Kościół zalecana praktyka, t. zw. *recollectionis menstruae*, czyli miesięcznego odnowienia na duchu. Księża jednego lub kilku dekanatów, albo też jakiegoś geograficznego okręgu, zjeżdżają się w oznaczony zgóry dzień na kilka popołudniowych godzin czyto w seminarjum, czy w jakimś klasztorze, czy też na jakiejś obszerniejszej plebanji. Zazwyczaj zaczyna się takie zebranie od konferencji, którą miewa bądź to któryś ze starszych kapłanów dekanalnych, bądź Ojciec Duchowny seminarjum, bądź wreszcie uproszony nato zakonnik; po konferencji odbywa się zwykle spowiedź albo przynajmniej daje się do niej sposobność; potem wspólne nabożeństwo, np. krótkie *salut* przed wystawionym Najśw. Sakramentem; nakoniec miewa ktoś z zebranych jakiś referat czyto pastoralny, czy prawny, czy liturgiczny lub dogmatyczny i po skromnym posiłku następuje rozjazd.

Pytam się tedy: czy takie odnowienie miesięczne kosztuje dużo mniej wysiłku i ofiary niżby go kosztowało sodalicyjne zebranie? Czy wogóle między jednym a drugim typem zjazdów zachodzi co do treści i zewnętrznych warunków jakaś zasadnicza różnica?

A wszakże tego rodzaju »odnowienia miesięczne« nietylko praktykują się już w wielu stronach kraju, ale można z wszelką pewnością przewidzieć, że niezadługo i tam wejdą w zwyczaj, gdzie dotychczas są jeszcze nieznane! Czemużby więc nie powiedzieć sobie poprostu: zamiast wiązać się w luźny zespół kapłanów zjeżdżających się w jedno miejsce na odnowienie ducha, zwiążemy się w Sodalicję i będziemy właśnie zebrania sodalicyjne traktować jako środek do miesięcznych rekolekcyj?

W świetle takiej koncepcji przypatrzmy się już szczegółowiej poszczególnym trudnościom.

Że ogromna większość kapłanów ugina się dziś pod ciężarem pracy nietylko wielkiej, ale nieraz przewyższającej normalne siły, temu nie myślimy przeczyć. I dlatego zdajemy sobie doskonale sprawę, że z każdym dodatkiem do zwyczajnych ciężarów trzeba bardzo a bardzo uważać, nie nakładając nic, coby nie było rzeczywiście potrzebnem. Ale z drugiej strony nikomu chyba nie tajno, że na to, co dźwiga i podtrzymuje ducha m u s i się znaleźć w życiu kapłańskiem, choćby najpracowitszem, swobodna chwila, bo gdyby tych rzeczy zabrakło, które łączą człowieka z Bogiem, całe życie, jakkolwiek pełne pracy, rozminęłoby się ze swoim celem i nie przyniosłoby prawdziwego owocu. Jeżeli więc musi być jakiś czas i jakaś sposobność do odnowienia ducha, jeżeli władze kościelne, począwszy od najwyższych, coraz silniejszy w tym kierunku wywierają nacisk — czy nie lepiej już oddać ten czas odświeżeniu duszy w formie sodalicyjnego zebrania? Czy »Matka pięknej miłości« i »Matka łaski Bożej« nie będzie wielką pomocą do utrzymania się przy prawdziwie kapłańskiej gorliwości?

Trzebaby chyba nie mieć żadnego zrozumienia nauki katolickiej i katolickiego ducha, żeby nie pojmować, czem jest dla kapłana głębokie i żywe nabożeństwo do Marji. Ono i jemu samemu osobiście zjedna mnóstwo pomocy duchownych i nada skuteczność jego apostolskiej pracy. Jeśli pięknie mawiał świątobliwy O. Faber: »Gdy widzę gdzieś nieudającą się sprawę katolicką, zawsze pewien jestem, że za mało w niej było Marji«, czy nie trzeba najusilniej się starać, żeby tej Marji były jak najpełniejsze i serca i słowa i czyny kapłańskie?

Przez to jednak nie chcemy bynajmniej powiedzieć, że Matka Najświętsza musiałaby być jedynym tematem prze-

mówień i referatów sodalicyjnych kapłańskich zebrań. Mówiłoby się nieraz i o Matce Najświętszej, ale w zasadzie przedmioty i konferencji moderatora i ewentualnych odczytów pozostałyby te same, jakie byłyby na zwyczajnych odnowieniach miesięcznych. Boć przecież wogóle w Sodalicjach mówi się o wszystkiem, co należy do postępu duchownego i do apostolskiej pracy, a chyba nikt nie wątpi, że w stosunku do kapłanów obie te dziedziny mogą dostarczyć prawie niewyczerpanych tematów, równie interesujących, jak pożytecznych. Co się zaś tyczy czasu, jakiego przygotowanie referatów wymaga, nie trzeba znów egzagerować trudności. Na kilkudziesięciu księży, którzyby jedną Sodalicję tworzyli, wypadłby na każdego referat raz na dwa lub trzy lata, a to przecież nie jest zbytniem obciążeniem, nawet przy życiu bardzo zajętem.

W tem, co powiedzieliśmy dotąd, zawiera się już i odpowiedź na pytanie, gdzie odbywałyby się sodalicyjne zebrania. Odbywałyby się tam, gdzie odbywają się już lub gdzie na przyszłość zaczną się odbywać zwykłe zjazdy na miesięczne odnowienie ducha. A ten punkt da się dla każdego okręgu czy dekanatu tak określić, że dojazd czyto koleją, czy tak rozszerzonym dzisiaj autobusowym ruchem, czy innemi środkami komunikacji nie byłby zbyt trudny. Jakkolwiek bowiem Sodalicja musiałaby mieć przy jakimś kościele swą kanoniczną siedzibę, nic nie stoi na przeszkodzie, by zebrania odbywały się dla większej wygody w innych miejscowościach, a nawet, żeby odbywały się w rozmaitych punktach. Gdzie niegdzie istnieje praktyka, że zebrania takich lub innych związków kapłańskich odbywają się kolejno po wszystkich probostwach do dekanatu lub okręgu należących. Skromne przyjęcie, jakie zwykło się dawać przy tej sposobności zebranym konfratrom, zważywszy na rzadkość tego faktu, też nikogo nie zrujnuje.

Cóż jednak powiedzieć o wspomnianych wyżej trudnościach psychologicznej natury? Na zarzut, że zebrania, wybory, konsulty i cały wogóle aparat organizacyjny Sodalicji może się wydawać starszym kapłanom czemś jakby »dziecinnem«, możemy tylko tyle powiedzieć, że to jest chyba subjektywne i dość mało uzasadnione wrażenie. Bo wszakże zupełnie podobne formy organicznego życia istniejące w każdem stowarzyszeniu, nikogo nie rażą i nikomu nie wydają się niegodne dojrzałych umysłów. Czemuby więc miały razić w Sodalicji Marjańskiej, w której zresztą nie odgrywają głównej roli? Jeśli te rzeczy nie wywołują uczucia zażenowania czy przykrości u najpoważniejszych mężczyzn, wśród których są i profesorowie uniwersytetów i majętni, zasłużeni obywatele i wysocy urzędnicy państwowi, czemużby ta

strona sodalicyjnego życia miała być kamieniem obrazy dla kapłanów, którzy przecież powinni dalej jeszcze się trzymać od ducha świata i jego nieuzasadnionych aprehensyj?

A zresztą — przecież przystąpienie lub nieprzystąpienie do Sodalicji będzie każdemu pozostawione do woli! Gdyby ktoś czuł, że nie potrafi włożyć się w tę formę związkowego życia, to nikt zgoła przynaglać go nie będzie. Owszem można zgóry przypuścić, że zpoczątku niewielu więcej kapłanów do Sodalicji się przyłączy, ponad tych, co już w seminarjum duchownem należeli do jej szeregów i zakosztowali jej błogosławieństw. Ale żeby już nie było całkiem takich, co mieliby w sercu tyle »świeżości« uczuć, żeby chcieć pod sztandar marjański się zapisać i pracę swoją tak wewnętrzną, jak apostolską, oddać pod opiekę Królowej nieba — w to jest nam bardzo trudno uwierzyć i nie zdaje się nam, żeby pod tym względem można żywić uzasadnione obawy.

I w tem już dotykamy kwestji, która niekiedy — choć bez dobrej racji — wydaje się najtrudniejszą, t. j. kwestji moderatora.

Przedewszystkiem zauważmy, że jeżeli we wszystkich Sodalicjach zakres aktualnych wpływów moderatora zwykł maleć z wrostem dojrzałości i powagi członków, to w Sodalicji k a p ł a ń s k i e j ograniczy się z pewnością do takiego minimum, jakie tylko da się pogodzić ze stanowiskiem, jakie mu wyznaczają reguły zasadnicze. Moderator więc nietylko nie będzie jakimś arbitrem sumień swych współbraci, albo wszechwładnym kierownikiem ich działań, ale będzie jakby starszym bratem, doradcą i przyjacielem, który w służbie Marji będzie im służył najżyczliwszą pomocą.

Żeby zaś nawet w tej formie nie mogli księża jednemu moderatorowi się poddać, temu nie uwierzymy. Poddają się w sposób daleko pełniejszy kierownikom »Unji Apostolskiej«, którym obowiązują się przesyłać co miesiąc pisany rachunek sumienia z całego szeregu punktów, poddają się zwierzchnikom innych stowarzyszeń w sferze przysługujących im działań, czemużby więc nie mogli uznać nad sobą moderatora, który skądinąd zasługuje na ich zaufanie? Boć przecież nie ulega wątpliwości, że chociaż moderatora mianuje wogóle Pasterz diecezji, w tej nominacji poszłaby Władza po linji życzeń samych księży, wyznaczając na moderatora czyto Ojca Duchownego seminarjum, czy jakiegoś starszego profesora czy innego bardzo poważnego kapłana, czy wreszcie znanego księżom i cenionego zakonnika.

Żeby zreasumować to wszystko, cośmy dotychczas powiedzieli, ewentualne powstanie Sodalicyj kapłańskich wyobrażamy sobie jak następuje:

Grupa księży, nie mniejsza niż 15 i nie większa niż 30, ale tak rozłożona w diecezji, żeby zjazdy nie przedstawiały jej zbyt wielkich trudności, decyduje się, za zgodą swego Pasterza, na zawiązanie Sodalicji Marjańskiej. Jeśli istnieje już między nimi czyto Unja Apostolska, czy inny jaki związek, czy choćby umowa zbierania się na miesięczne odnowienie ducha — wszystko to Sodalicji nietylko nie szkodzi, ale raczej dopomaga. Jeśli to nie istnieje, to Sodalicja może wszystkie te rzeczy czyto ułatwić, czy zastąpić.

Tak zebrani, porozumiewają się ze sobą najpierw co do osoby, którą możnaby uprosić u Władzy na moderatora (mogą nawet wybrać na początek prowizorycznego kierownika), potem co do miejsca i częstości zebrań, co do kierunku prac i innych szczegółów przedsięwzięcia. Gdy wszystko już w zarysie się ułoży, układają sobie statut szczegółowy — ramowy wzór możnaby bez trudności nakreślić — potem zwracają się do Rządcy diecezji o erekcję Sodalicji, otrzymawszy ją, przeprowadzają agregację i rozpoczynają swe funkcje.

Jeżeliby zaś takich Sodalicyj powstało więcej — w każdej diecezji może ich być mniej więcej dziesięć — dałby się bez trudności stworzyć krajowy ich związek, któryby te poszczególne ogniska kapłańskiej służby Matce Najświętszej zespalał w wyższym rodzaju jedności, jak to w Sodalicjach innych typów ma miejsce.

Że na tem nie wyszłoby źle kapłańskie życie i kapłańska praca, to wydaje się nam oczywiste.

Ponieważ jednak, jak wspomnieliśmy na początku, cała ta myśl jest tylko pierwszym zarysem planu i bardzo nieśmiałą propozycją wielkiego przedsięwzięcia, życzymy sobie gorąco, by nad nią wywiązała się dyskusja, której otworzymy najchętniej łamy naszego pisemka.

Ks. Jan Rostworowski T. J.

Chlubna rocznica.

Chociaż pisemko nasze, wychodząc za rzadko, by umieszczać jakiekolwiek sprawozdania, obraca się wogóle w sferze nie faktów lecz idei, nie możemy nie zrobić wyjątku dla pewnego wydarzenia, które w każdem sercu katolickiem i polskiem musi znaleźć najżywszy i najradośniejszy oddźwięk. Kilka dni temu dostało się nam do ręki dziesiąte roczne sprawozdanie Wydziału wykonawczego Związku Sodalicyj Marjańskich uczniów szkół średnich w Polsce. Jeżeli autor jego pisze na wstępie, że nie bez szczerego wzruszenia nakreślił na tytule tego sprawozdania cyfrę X, to podobne wzruszenie udziela się każdemu czytelnikowi, który miał sposobność przypatrywać się od początku dziejom tego Związku, jednego z najpiękniejszych dzieł, jakie powstały w odrodzonej Ojczyźnie.

Nie będziemy tu powtarzać szczegółowych zestawień cyfrowych, których pełna jest ta pocieszająca i pouczająca broszura — każdy z księży Moderatorów należących do Związku ma ją w ręku, a każdy inny powinien o nią się postarać — nie będziemy też opowiadać historji tego zrzeszenia, które doprawdy jak ziarnko gorczyczne rozwijało się z małych początków, by wyróść w drzewo wprost imponujące swą wielkością. Chcemy tylko powiedzieć słów kilka o przyczynach, którym to dzieło powstanie swoje i rozwój zawdzięcza, a chcemy powiedzieć nietylko dla złożenia hołdu niepospolitej zasłudze, ale dla wyciągnięcia z tych uwag ważnych a pocieszających nauk.

Uchodzi to już nieraz za rodzaj smutnego dogmatu — powtarzano go nam nazbyt często — że my Polacy mamy różne talenty, ale organizować się nie umiemy. Tymczasem cóż się stało? Zaledwie upadły kordony, dzielące różne dzielnice naszej Ojczyzny, pomimo najtrudniejszych w świecie warunków, na jakie złożyły się przeróżne przyczyny, pomimo niedostatecznego w wielu kołach zrozumienia ważności sprawy, rodzi się wśród młodzieży męskiej szkół średnich,

a potem rozwija się najkonsekwentniej organizacja międzysodalicyjna tak wspaniała, jakiej cała zagranica wykazać nie może. Łączy dziś ten związek w sobie blisko dwieście karnych, czynnych, pełnych ducha Sodalicyj, z których każda jest znów źródłem i ośrodkiem całego szeregu zbożnych przedwsięwzięć, a w duszach młodzieży, którą ten związek w sobie skupia i przez swe kadry przepuszcza znać już wyraźnie jakby smugę światła, wzmożenie wiary i miłości oraz spotęgowanie cnót chrześcijańskich.

Czemuż przypisać te zdumiewające rezultaty?

Stworzyła je tylko wiara, energja i konsekwencja jednego człowieka. Jak u początku wszystkich dzieł Bożych, znalazł się ktoś, który potrafił stać się ośrodkiem potężnego ruchu i szereg innych pociągnąć za sobą, a kiedy w ten sposób powstał zawiązek wielkiego dzieła, zaczęła rzecz rosnąć tak dziwnie, jak rosną sprawy, którym »Bóg pomnożenie dawa«.

Czcigodny Prezes Związku Sodalicyj młodzieńczych przedewszystkiem uwierzył. Kochając z głębi serca Matkę Najświętszą i sodalicyjną Jej służbę powierzył, uwierzył, że to imię i ta idea może dziś działać tak samo potężnia, jak działała niegdyś za wiosennych dziejów Sodalicji Marjańskiej; kochając najserdeczniejszem uczuciem młodzież polską, uwierzył, że ta młodzież będzie chciała się garnąć pod sztandar swej Królowej i że potrafi w Jej służbie postępować drogą prawdziwej chrześcijańskiej cnoty. Ks. Winkowski uwierzył, że ta sprawa może, owszem, jak nieraz wyrażał się w swoich odezwach, musi się udać i sprawdziło się po raz nie wiem który, że, wedle słów wielkiego poety, wiara jest źródłem i korzeniem czynu.

Ale powtóre ten sam twórca Związku włożył weń od pierwszej chwili ogromny zasób zupełnie niepospolitej energji. Była to energja cicha, pełna dobroci, ale niespożyta. Nie osłabiały jej, raczej potęgowały ją te tak liczne trudności, jakie trzeba było przezwyciężać, te cząstkowe niepowodzenia, te rozmaite niezrozumienia ze strony ludzi, na jakie Związek w swym rozwoju nieraz natrafiał, te częste chwile, w których zdało się zbywać na wszystkich środkach, do takiego dzieła nieodzownie potrzebnych. Kto patrzał z boku na dzieje całego tego przedsięwzięcia, ten nieraz zdumiewać się musiał nad siłą ręki, w której ster całej sprawy spoczywał.

Co jednak może jeszcze bardziej na podziw zasługuje, bo rzadziej jeszcze w naszych robotach się spotyka, to żelazna konsekwencja w dążeniu do wytkniętego celu. Żadnych oscylacyj, żadnych ustępstw od nakreślonego planu, żadnego lekceważenia szczegółów napozór nawet drobnych,

ale ta systematyczność i dokładność w wykonaniu wszystkiego zupełnie wolna od jakiejś ciasnej pedantyczności i zamiłowania paragrafów. Każde sprawozdanie roczne Wydziału Wykonawczego — a mieliśmy je w ręku chyba wszystkie — to prawdziwy wzór z jednej strony nieubłaganego porządku, z drugiej szerokości myśi i serca.

Jesteśmy szczęśliwi, że u progu tego skończonego dziesięciolecia możemy złożyć Prezesowi Związku najserdeczniejsze i najszczersze powinszowania. Nie pracował on dla swojej chluby, ale dla Bożej chwały i dla dobra Ojczyzny, ale nie może mu nie być miłe uczucie, że za pomocą Matki Najświętszej dokonał rzeczy wielkich. Bo chociaż prawdą jest, że trafił na chwilę, w której po sercach każdej, także i naszej młodzieży szedł jakiś powiew idealizmu i świętego zapału, na naszej niwie on przedewszystkiem skierował ten prąd we właściwe koryto i nadał mu konkretne a bardzo owocne formy. Życzymy Mu ze serca, by śliczna ta praca rozwijała się dalej i dalej, przynosząc w duszach naszej młodzieży jak najwięcej chwały Bogu i Matce Najświętszej i jak najwięcej pożytku Ojczyźnie.

Ale ta chlubna rocznica powinna zarazem być i nauką. Ona powinna przedewszystkiem posłużyć za żywy dowód do jak wielkich rzeczy zdolna jest idea i organizacja sodalicyjna, jeżeli odda się na jej usługi wiara ożywiona miłością i umiejętna, konsekwentna energja. Wobec tego przykładu upadają same ze siebie wszelkie zarzuty, jakie czasem jeszcze dzisiaj dają się słyszeć, jakoby Sodalicja się przeżyła i nie była już zdolna do skupiania i odnawiania serc.

Powtóre jednak odzywa się z tej rocznicy i poważny apel do starszego społeczeństwa. Apel najpierw w tym kierunku, żeby ten wspaniały początek — praca nad młodzieżą zawsze jest początkiem — wspólną pracą rozwijać dalej, przeprowadzając materjał zgrupowany już w Sodalicjach młodzieńczych, przez inne Sodalicje czyto akademickie, czy dojrzałych mężczyzn. W ten tylko sposób, jeśli Sodalicje staną się jakby różnemi tylko mieszkaniami jednego gmachu, w którym spędza się całe życie, w ten tylko sposób całe społeczeństwo przerośnie niejako ideą marjańską i Matka Najświętsza »rozkorzeni się w zacnym narodzie«.

Lecz nadto woła to sprawozdanie z dziesięciolecia i o realną, materjalną pomoc. Dzieło rozrosło się tak, że już samo sobie wystarczyć nie może. Tak niezmiernie ważne jego placówki, jak rekolekcje zamknięte maturzystów, zjazdy, wydawnictwa, kolonja wakacyjna i t. d. wymagają koniecznie poparcia tych, których dobru wreszcie służą, t. j. starszego społeczeństwa. A starsze to społeczeństwo, zwłaszcza sku-

pione w Sodalicjach, pobudzić do ofiarności, to należy do nas, moderatorów. Kończymy więc usilną prośbą, by księża Moderatorzy, zwłaszcza starszych Sodalicyj, zechcieli rozważyć czem Związkowi Sodalicyj młodzieży męskiej mogą przyjść z pomocą i żeby energicznie zabrali się do zbożnego dzieła.

Ks. J. R.

Nauki i szkice

Kwas ewangeliczny.[1])

Podobne jest królestwo niebieskie kwasowi, który wziąwszy niewiasta zakryła we trzy miary mąki, aż wszystka skwaśniała.
(Mat. 13, 33).

Drodzy Bracia Sodalisi!

Słowa te godzi się odnieść i zastosować do Sodalicji, dziwnie bowiem jasno i ściśle określają jej charakter i obowiązki.

Czynnik, jaki nas w tem podobieństwie na pierwszy rzut oka uderza, to ta potężna i żywiołowa siła wewnętrznego życia, w postaci kwasu, jaka całość mąki zakwasza.

Powiedziałem siła wewnętrzna: bo czyż taką nie jest Królestwo niebieskie? Czyż o niem, na innem miejscu, nie wyrzekł Chrystus: *Oto Królestwo Boże w was jest?*[2] Wreszcie, czyż Apostoł nie określił bliżej jeszcze tej siły, mówiąc, iż składają się na nią: *sprawiedliwość i pokój i wesele w Duchu Świętym?*[3] Słowem, nadprzyrodzone, wewnętrzne życie łaski.

Lecz życie łaski jest skryte, podobnie jak skrytem jest życie kwasu w rozczynie mąki, podobnie jak życie samego Boga, *którego żaden z ludzi nie widział, lecz ani widzieć może.*[4]

On twórczą swoją prawicę położył na wszystkiem, co się tylko życiem nazywa: u jego progów tajemnych ręka ludzka zatrzymuje się drżąca, niepewna, umysł staje lękliwy, zdumiony, jak przed wiekuiście milczącą zagadką, przed sfinksem.

---

1. Przemówienie na zakończenie rekolekcyj dla Sodalicji Panów.
2. Łuk. 17, 21.
3. Rom. 14, 17.
4. I Tim. 6, 16.

I może *ziarno gorczyczne, które najmniejsze jest ze wszystkiego nasienia* — jak mówi Zbawiciel — może to ziarno człowiek rozłożyć na ostateczne pierwiastki drobin: lecz równocześnie jego badawczy wzrok dostrzec nie zdoła życia, które przed nim z tego ziarna uchodzi. I może je znów złożyć z tych samych cząstek i spoić w pierwotny kształt i w pierwotną wielkość: nie *urośnie większe ze wszech jarzyn;* nie *stanie się drzewem;* nie *przyjdą ptaki niebieskie;* nie *zamieszkają na gałązkach jego:* obumarło... I może człowiek podziwiać w drugim pełnię energij życiowych silnego organizmu; ludzkiej i twórczej myśli; dobroczynnych i ofiarnych poczynań. *Człowiek widzi, co się pokazuje, a Pan patrzy na serce,*[5] mówi Duch Święty i nieomylnym wyrokiem ogłasza: *Znam uczynki twoje, iż masz imię, że żyjesz, aleś jest umarły:*[6] niedostępny naszemu oku proces wewnętrznego rozkładu, który w świat grzechu życie łaski zamienia.

Podstawą Sodalicji i celem rozwój tej pełni wewnętrznego, ukrytego życia; zdążanie i usiłowanie, by sodalisów urabiać na »wybitnych chrześcijan, szukających własnej doskonałości i udoskonalenia bliźnich«, mówią nam zasadnicze ustawy.

Któż jednak, pytam, w Sodalicji to życie budzi i roznieca, ochrania i zachowuje?

Podobne jest królestwo niebieskie kwasowi, który wziąwszy niewiast zakryła we trzy miary mąki, aż wszystka skwaśniała.

Taką *mąką* ewangeliczną Sodalicja, a *niewiastą,* która w nią *kwas* życia *zakryła,* Marja.

Wzywała was pod swój sztandar słowami Pisma: *Pójdźcie tu synowie, posłuchajcie mię: bojaźni Pańskiej nauczę was.*[7] Z chwilą, gdy posłuszni wezwaniu, ślubowaliście jej synowstwo i wierne służby, z tą chwilą nowych łask skarbnica otworzyła się dla was. Miłość dziecięca; nabożeństwo ufne w jej pomoc i w jej opiekę ugruntowały i wzmocniły wiarę, której wyznanie złożyliście u jej stóp. Wiara, jak ów *kwas w mąkę* przez *niewiastę zakryty* ma całe życie wasze zakwasić; wiara ma być jego rozczynem, motorem, dźwignią, siłą ukrytą, bo: *sprawiedliwy z wiary żyje,*[8] woła, aż trzykrotnie, Apostoł.

---

5. I Reg. 16, 7.
6. Apoc. 3, 1.
7. Ps. 33, 12.
8. Rom. 1, 17; Gal. 3, 11; Hebr. 10, 38.

Sodalicje powstały w chwili, gdy płomień wiary począł się chwiać pod zabójczem tchnieniem Reformacji. Stanęły śmiało u boku tej, którą *Pieśń nad Pieśniami* sławi, iż sama jedna wrogom *straszną jest jako wojska uszykowane porządnie,*[9] stanęły falangi jej synów. A dzisiaj, gdy na przełomie dwóch wieków, nie mniejsze jak wówczas niebezpieczeństwo, czyż nie miałyby stać przy niej w pełnym rynsztunku?

Opisują Księgi Mojżeszowe, że zesłał był *Pan ciemności na ziemię egipską tak gęste,* że każdy *się ich mógł dotknąć.*[10] I my żyjemy dziś w podobnych ciemnościach; i nas otaczają *strachy nocne* i *przygody snujące się w mroku,*[11] o których mówi Psalmista. Ludzie snują się poomacku; potykają, raz po raz, o nowe błędy, fałsze i kłamstwa; ranią się o nieprzewidziane przeszkody; oślepieni, wpadają w chytrze zastawione zasadzki. Ale w Egipcie, jak Mojżesz podaje, *gdziekolwiek mieszkali synowie Izraela, była światłość.*[12] Więc i dziś *ma być światłość, gdziekolwiek mieszkają synowie* Marji. A tą światłością — w i a r a. Wiara nie ugodowa i połowiczna, co odbiera siłę jej prawdom, a jej nauce czystość: lecz wiara p e ł n a, potężna; promienna blaskiem słów Chrystusowych, a oświecona nieomylnem słowem jego Namiestnika na ziemi. Wiara nie chwiejna, *unoszona od każdego wiatru nauki,*[13] ale *r o z u m n a,*[14] oparta na niezbitych i niezawodnych probierzach, co, jak Pawłowi, kładzie na usta wyznanie: *Wiem komu uwierzyłem, i pewien jestem, iż mocen jest powierzonej rzeczy mojej strzec.*[15] Wiara c z y n n a, praktyczna, której hołduje nietylko umysł, by przyjąć, serce, by umiłować, ale i ramię, by działać. Czoło w jej blaskach: pierś w jej płomieniu; ramię w jej sile — takim ma być sodalis!

Podobne jest królestwo niebieskie kwasowi, który wziąwszy niewiasta zakryła we trzy miary mąki, aż wszystka skwaśniała.

Podobny niewieście ewangelicznej, co nie ograniczyła się do j e d n e j li tylko m i a r y, i sodalis nie może zasklepić się

---

9. Cant. 6, 3.
10. Exod. 10, 21.
11. Ps. 90, 5—6.
12. Exod. 10, 23.
13. Eph. 4, 14.
14. Rom. 12, 1.
15. II Tim. 1, 12.

w sobie: siłę kwasu wiary winien przenieść na drugie dwie *miary mąki;* ma je przeniknąć, rozczynić, przeobrazić: *ażby wszystka skwaśniała.*

Jeśli kto o swych, a najwięcej o domowych pieczy nie ma, zaparł się wiary i jest gorszy, niźli niewierny.[16] Te słowa Pawłowe winny sodalisowi ustawicznie leżeć na sercu; ma mieć oko bacznie zwrócone na najbliższe swe otoczenie; ma wypełnić to posłannictwo światła, o którem Chrystus: *Nie zapalają świecy i kładą jej pod korzec* — mówi — *ale na świeczniku, aby świeciła wszystkim, którzy są w domu;*[17] ma słowem, zachętą, upomnieniem, gdzie należy, a nadewszystko własnym przykładem sprawiać, by przy codziennem zetknięciu ci, którzy z nim bezustannie obcują, przesiąknięci byli zasadami wiary, ogrzani jej ciepłem, ożywieni jej duchem, by stali się prawdziwymi *domownikami wiary,*[18] jak nazywał pierwszych chrześcijan Apostoł.

Ażby wszystka skwaśniała... Przez Sodalicję rodzina, a przez rodzinę i Sodalicję całe społeczeństwo, to owa trzecia *miara mąki,* oczekująca, by ją ferment *kwasu* przetrawił. *Ażby wszystka skwaśniała* — mówił Chrystus. — *Aby wszyscy byli jedno,*[19] modlił się do Ojca.

Takie też mają być pragnienia i cele sodalisa: szerokie, jak Serce Boże ogarniające ludzkość; powszechne, jak Kościół Boży w którego wiarę wyznawał u stóp Niepokalanej. I taką wiara, prócz której w *Chrystusie Jezusie nic nie waży* — woła Apostoł: *wiara, która przez miłość działa.*[20]

I pójdzie w bój życia, ku zwycięstwu, wierny syn Marji: z puklerzem jej macierzyńskiej opieki; z płomieniem miłości Boga i bliźniego w piersi; z hasłem Ucznia Jezusowego: *A to jest zwycięstwo, które zwycięża świat: wiara nasza.*[21] Amen.

---

16. I Tim. 5, 8.
17. Mat. 5, 15.
18. Gal. 6, 10.
19. Joan. 17, 21.
20. Gal. 5, 6.
21. I Joan. 5, 4.

Ks. Józef Tuszowski T. J.

Czyn katolicki.

Przemowa do Sodalicji męskiej.

A zwycięstwo to, które zwycięża świat, jest wiara nasza. I Jan. 5, 4.

Jeden z naszych wielkich papieży [1] ostatnich czasów wypowiedział w jednej ze swych alokucyj te znamienne słowa: »Widzę, że w wielu krajach i państwach pokłada się ufność tylko w modlitwie, tylko od modlitw oczekuje się końca nieszczęść w których żyjemy. Wszędzie stawia się z uczuciem niepokoju to pytanie: Kiedyż nareszcie zobaczymy koniec ucisku? Wiecie kiedy? Wtedy gdy aktom pobożności po kościołach odpowiedzą uczynki spełniane poza kościołem, nazewnątrz«.

Te poważne i energiczne słowa wielkiego papieża nie znaczą bynajmniej, że modlitwa jest rzeczą niepotrzebną lub nieużyteczną, ale przypominają nam nader wielki obowiązek życia chrześcijańskiego, że zbawienie nasze zawisło równocześnie od Boga i od nas samych, że modlitwa nasza musi też łączyć się z czynem, podług tej pięknej zasady: *módl się i pracuj!*

Pewną jest rzeczą, że my nic nie możemy bez naszego Stwórcy i Boga, ale również nie ulega wątpliwości, że On wymaga współdziałania z naszej strony; jeśli nie posiejemy, mówi Apostoł, nie będzie też żadnego zbioru. Trzeba więc modlić się wytrwale i z ufnością a zarazem działać i pracować aż do upadłego, bo tylko taka praca złączona z modlitwą cuda czyni i zasługuje na pomoc Bożą. Niestety, u nas większość tych, co działają i pracują, nie modli się dostatecznie, zdają się nie rozumieć znaczenia i doniosłości modlitwy, — zaś wielu z tych, co się

1. Pius IX.

modlą, zdają się lękać wszelkiej pracy, boją się przyłożyć ręki do akcji katolickiej, do obrony prawdy Bożej.

Dziś będę mówił o obowiązku działania w duchu Chrystusowym; nie powiem nic nowego, powtórzę rzeczy już wam dobrze znane, ale które jeszcze nie dość weszły u nas w praktykę. Na większą chwałę Bożą.

1. Obserwując bacznie życie katolickie w Polsce, nie można zaprzeczyć, że społeczeństwo nasze zaczyna już wchodzić na tę równię pochyłą, po której ludy zachodnie stoczyły się nadół aż do zupełnego odstępstwa od Boga, aż do niewiary. Niemało byłych katolików polskich stanęło już u kresu odstępstwa i ateizmu, wielu jest w połowie drogi, wielu jest zachwianych, słabych, obojętnych, którzy prędzej czy później stoczą się w tę samą przepaść za pierwszymi. Widzimy to dobrze, czujemy i narzekamy, że jest źle i coraz gorzej, że wróg wiary naszej prowadzi swe dzieło planowo, systematycznie, a przecież nie robimy nic lub bardzo mało, by tej robocie szatańskiej przeciwdziałać. Pragniemy zwycięstwa, triumfu sprawy katolickiej, a trudno nam zdobyć się na wysiłek i ofiarę.

Przyczynę wszystkiego złego upatrujemy w nieprzyjaciołach naszych, w ich agitatorach, pismach, dziełach, gazetach, które szerzą zepsucie obyczajów i podkopują zasady wiary naszej świętej. Tymczasem wina leży bardziej po naszej stronie, w naszej niezaradności i bezczynności. Wróg nawet najzaciętszy i najsilniejszy, nie mógłby nam dać rady, gdyby znalazł u nas wierność zasadom Chrystusowym, czyli silną i żywą wiarę.

I nie w tem leży największe nieszczęście czasów obecnych, że mamy wrogów licznych, różnorodnych i potężnych, bo to wszystko było już i dawniej, — ale w tem trzeba upatrywać przyczyny przegranej, że nas dzisiaj nie stać na wiarę żywą przodków naszych, że nam brak ich gorliwości o chwałę Bożą, że nie mamy ich duchownego męstwa.

U nas prawie każdy zowie się katolikiem, ale ten katolicyzm bywa często przykrojony na własną miarę, wedle własnych zapatrywań i upodobań. Jakżeż wielu z pośród nas ma swoją własną ewangelję, własne *credo*, odpowiednie do swych namiętności i poglądów. Jedne dogmaty przyjmuje, inne odrzuca, wierzy w to co mu się podoba, ale nie tak jak Kościół uczy i jak się Bogu podoba. W razie potrzeby nazywa się wiernym synem Ko-

ścioła katolickiego. bierze udział w narodowo-kościelnych manifestacjach, ale w praktyce, w życiu prywatnem, codziennem, z lekkiem sercem gwałci przykazania Boskie i kościelne, szerząc zgorszenie grzesznem swem życiem.

I właśnie ten brak wiary konsekwentnej, ten brak zasad katolickich, życia z wiary, jest najsłabszą stroną katolików polskich naszych czasów. I tylko dlatego nie jesteśmy zdolni do silniejszego oporu naszym wrogom i nie możemy się zdobyć na jednolitą a energiczną akcję katolicką, że nam brak silnej a niezachwianej wiary, że nam brak wierności zasadom katolickim, bo pismo św. mówi: *A zwycięstwo to, które zwycięża świat, jest wiara nasza.*

2. A wierności tej tem bardziej potrzeba, że żyjemy w takim okresie czasu, w którym każdy chrześcijanin, godny tego nazwiska, musi być żołnierzem i obrońcą swych zasad katolickich; stoimy u progu takich chwil przełomowych, w których prawdziwy wyznawca Chrystusa Pana musi być gotów i życie swoje położyć w ofierze gdyby tego zaszła potrzeba.

Minął czas spokojnego snu i bezczynności, zbliżamy się szybko do epoki, w której zupełnie jak w pierwszych wiekach Kościoła nie będzie wnet nic pośredniego między apostazją, zaprzaniem się Kościoła św., a heroicznem wyznaniem wiary Chrystusowej.

Nie sądźmy jednak, że najwyższym ideałem katolika jest położyć szyję pod miecz katowski lub nastawić piersi na kule karabinowe. Nie! On ma prawo i szczytny obowiązek walczyć aż do upadłego w obronie swej matki Kościoła św. i swego Zbawcy Jezusa Chrystusa. A jeśli się kto od tej walki usuwa i opuszcza haniebnie sztandar Chrystusa, ten przez to samo sprzeniewierza się samemu Bogu.

Bezwątpienia, że nie jest to po ludzku bardzo przyjemnem zrzec się miłych chwil bezczynności, zabaw i rozrywek światowych, aby całą duszą zająć się konferencjami, odczytami religijnemi, propagandą dobrych książek i broszur, odwiedzinami chorych i opuszczonych, dyżurami wśród biednych i zaniedbanych dzieci.

Ale czy poto jesteśmy na świecie, by się bawić? Czy nawet mamy prawo do tego, podczas gdy wrogowie z taką szatańską zaciekłością szerzą dzieło zniszczenia, podczas gdy matka nasza

Kościół jest w żałobie, gdy ojczyzna narażona na utratę wiary przodków naszych i obyczajów chrześcijańskich, a Bóg tak okropnie spotwarzany i znieważany?

Nastały czasy, w których każdy kto chce uchodzić za prawdziwego wyznawcę Chrystusa, musi śmiało i wszędzie stawać w obronie wiary świętej i swych przekonań religijnych, gardząc opinją ludzką i tym straszakiem: co o mnie ludzie powiedzą.

Tymczasem ilużto widzimy wkoło siebie katolików gnuśnych, bojaźliwych, katolików z imienia, z metryki, pół-pogan, którzy ulegając wpływom wrogów Chrystusa, usuwają się od wszelkiej walki i akcji katolickiej. Co więcej, niektórzy przechodzą nawet otwarcie do obozu nieprzyjaciela, zapierając się Kościoła i jego nauki, by nie narazić się na przykrości i docinki złośliwe. Kto tak postępuje, ten jest zdrajcą swego sztandaru, a w języku kościelnym taki zowie się apostatą, czyli odstępcą od prawdziwej wiary.

We wszystkich prześladowaniach wiary św. zdarzali się zdrajcy i apostaci, bo w pośród ludzi obojętnych dla wiary lub niewierzących, zawsze znajdą się dusze słabe, niskie i podłe.

3. Spotykamy dalej w naszem społeczeństwie wielu katolików, którzyby może nigdy nie wyparli się wiary św., ale nie mają dość hartu ducha i odporności na pociski z obozu nieprzyjaciół. Uginając się zbyt łatwo pod jarzmem, które im wróg nakłada, stają się powodem, że ich coraz bardziej gnębi i zmusza do coraz większych ustępstw. Cierpieć z rezygnacją, przyjmować wszystko z obawy przed większem złem, dać sobie kneblować usta, krępować ręce, to zdaje się być dewizą, programem wielkiej liczby dzisiejszych oziębłych katolików.

Tak, tolerować , znosić wszystko bez szemrania, bez protestu, dać sobie wyrywać z serca święte ideały, patrzeć się obojętnem okiem, jak wróg szkaluje, hańbi i pastwi się nad Kościołem i jego wiarą, to wielka słabość, to upadek ducha wiary katolików ospałych bieżącej doby. Stąd tyle złego pośród nas, że budzi się pytanie, czy jeszcze potrafimy obronić się i wiarę św. nieskażoną przekazać następnym pokoleniom.

Chełpimy się, żeśmy tolerantni; stąd tolerujemy bezbożne i bezwstydne przedstawienia w teatrach, kinach, tolerujemy nowomodne, wyuzdane tańce, modę bezwstydną, tolerujemy rozmowy, żarty, przeciwne zasadom moralności, przeciw Kościołowi,

jego przepisom, jego biskupom, a nawet Głowie Kościoła. Tolerujemy, a nieraz czynnie popieramy złe pisma, złe gazety, złe i przewrotne książki, których pod grzechem nie wolno czytać katolikowi. I sądzimy, żeśmy cnotliwi i dobrzy katolicy, tak postępując.

A czy w ten sposób postępujemy, gdy chodzi o nasze dobra doczesne? Czy z podobną obojętnością znosimy oszukaństwa i uszczerbek w naszych interesach lub oszczerstwa, rzucane na naszą osobę, na nasze dobre imię? A czemuż mielibyśmy tak lekko traktować sprawy Kościoła św. i wiary naszej, które są nieskończenie ważniejsze niż wszystkie sprawy doczesne człowieka.

4. Jest znów inny rodzaj katolików, którzy sądzą, iż bronią Kościoła, narzekając na złe czasy, na przewrotnych ludzi, protestując przeciw atakom na Chrystusa Pana i Jego Kościół. Bezwątpienia, że sam protest jest dowodem, że się nie godzimy na postępowanie wroga, ale czy te ataki wrogów powstrzyma sama protestacja słowna, choćby najwymowniejsza? Czy takie lamentowanie i narzekanie nie jest raczej zwątpieniem o zwycięstwie słusznej sprawy, o triumfie zasad Bożych? Takie żale bojaźliwych wyznawców Chrystusa Pana nietylko że są poniżające, ale co gorsza, zniechęcają i paraliżują energję, powstrzymują usiłowania żywej akcji katolickiej. Zamiast narzekać i lamentować, czy nie lepiej wziąć się do pracy, do walki bronią, której nam jeszcze z rąk nie wytrącono!?

A nie brak i takich katolików, a ci bodaj są najliczniejsi i najniebezpieczniejsi, którzy nietylko, że sam nic nie robią, ale wszelką inicjatywę, wszelkie plany i zamiary ludzi dobrej woli, którzy chcą rozpocząć jakąś akcję katolicką, obwiniają o jakieś ziemskie widoki, ambicje, krytykując złośliwie ich postępowanie na każdym kroku. Niemasz nic gorszego dla sprawy Bożej, jak takie obwinianie się, sianie niezgody, zawiści, rozgoryczenia między walczącymi pod tym samym sztandarem.

Przywódcy bezwątpienia mają prawo sądzić o wartości tej lub owej taktyki, ganić i zapobiegać, aby na przyszłość nie popełniano tych samych błędów, ale ustawiczne oskarżanie się i krytykowanie, doprowadzić musi do niezgody i upadku wszelkiej dobrej sprawy, a do triumfu wrogów Kościoła.

5. A teraz jeszcze kilka słów o środkach rozumnej akcji katolickiej. Jest ich wiele, wspomnę tylko o niektórych. Podstawą wszelkiej akcji katolickiej i jej powodzenia jest przedewszystkiem ścisłe stosowanie naszego prywatnego życia do przykazań Bożych i kościelnych, w imię miłości Kościoła jako własnej matki. Z chwilą gdy zakwitnie w domach i rodzinach naszych życie iście polskie i katolickie, znikną z nich próżność, zamiłowanie zabaw, świeckości, słowem, to wszystko, cośmy zwykli godzić z katolicyzmem a co z nim pogodzić się nie da.

Nie wstydźmy się naszego sztandaru! Jakim czołem moglibyśmy powiedzieć, że walczymy za Kościół, gdyby tryb naszego życia był stale w sprzeczności z jego zasadami, przykazaniami i nauką? Czy można zrozumieć takiego, któryby mówił przychylnie o Kościele i bronił go, a któremuby można zarzucić jego złe życie, jego prowadzenie się gorszące, jego brak sumienności i uczciwości? Niech nas Bóg strzeże od takich katolików!

Co więcej. Ojcowie Kościoła opowiadają, że w czasie krwawych prześladowań, chrześcijanie narażeni niemal codziennie na zdradę i męczeństwo, przygotowywali się do niego, nakładając sobie posty i umartwienia, zdolne wzmocnić ducha i uzbroić ciało. Jasną bowiem jest rzeczą, że zgniły barłog, lochy więzienne, tortury najwyszukańsze, byłyby ponad siły nietylko dzieci i niewiast, ale nawet mężczyzn, gdyby aż do chwili więzienia żyli w zbytkach i rozkoszach.

My nie wiemy co nam jutro przyniesie, ale jak można mieć nadzieję, że się będzie silnym w walce, że się dorówna męczennikom, gdy przyjdzie dać świadectwo prawdzie, jeśli się unika starannie wszelkiej próby, wszelkiego wysiłku i umartwienia? A pamiętajmy o tem, że pomoc i siłę nadprzyrodzoną do walki o zbawienie otrzymujemy od Chrystusa tylko przez poświęcenie, zwycięstwo ciała i modlitwę. Pytajmy naszego sumienia i rachujmy się pilnie, czyśmy przygotowani do walki za Chrystusa i Jego Kościół św., czyśmy godni nosić nazwę szermierzy Chrystusowych, czyśmy dostatecznie chrześcijanami, aby liczyć na pomoc nieba?

A więc naprzód śmiało do dzieła, do pracy nad odbudową Królestwa Bożego w pośród narodu naszego. Co to może zrobić dobrego jeden człowiek, zapalony miłością Bożą i bliźniego, a cóż dopiero możecie zdziałać wy, sodalisi, dla obrony Kościoła, gdy

się razem złączycie, gdy wspólnie, ramię przy ramieniu, staniecie pod sztandarem Marji. Nie lękajcie się względu ludzkiego ani zjadliwej krytyki. Pamiętajcie, że jakkolwiek postąpimy, zawsze będziemy krytykowani. A więc lepiej być krytykowanym za spełnienie swego obowiązku w sprawie świętej, niż za jego zaniedbanie.

Niech nasza akcja będzie wytrwała, gdyż u nas często zaczyna się z zapałem, ale zapał jak słomiany ogień prędko gaśnie. Niech nasza akcja będzie praktyczna, gdyż u nas wiele jest teoryj, za wiele się dyskutuje. uchwala, a za mało się robi. Niech nasza akcja nie zraża się trudnościami. niepowodzeniem, zawodami, ale jeśli jest rozpoczęta z Bogiem i tylko sprawę Bożą i bliźniego ma na oku a nie interes własnej miłości, prędzej czy później zwycięży. Cierpliwość chrześcijańska jest cechą dzieł Bożych.

Wreszcie, jeśli pragniemy zwycięstwa dobrej sprawy, musimy przeciwstawić naszym wrogom wiarę silną i konsekwentną we wszystkiem i pełnię życia katolickiego, bo gdzie wiara słaba, chwiejna, tam i siła do czynu nie wielka i zwycięstwo wątpliwe. Od Sodalicyj Marjańskich spodziewa się Ojciec święty wszelkiego dobra, wzmocnienia Kościoła św. na przyszłość, ale to jest niemożliwem, jeśli sodalisi nie będą czerpać swych sił i zapału do pracy tam, gdzie dzisiejsi katolicy jedynie znajdą hart i wytrwanie, t. j. w częstej a nawet codziennej Komunji świętej. Módlmy się więc i pracujmy na większą chwałę Bożą i cześć naszej Pani i Patronki, Niepokalanej Dziewicy Marji. Amen.

Ks. J. G. W. T.

Życie Matki Najświętszej, ujęte w szereg nauk na sodalicyjne nabożeństwa.

NAUKA II.

Po pierwszym upadku pierwsza nadzieja.

Położę nieprzyjaźń między tobą a między Niewiastą. Ona zetrze głowę twoją.
(Słowa Boże do węża w raju. Rodz. 3, 15).

Płynęły wieki i niezliczone wieków pasma — biedna mowa ludzka nie umie inaczej wyrazić spokojnego trwania wieczności Bożej — a nie istniało nic, prócz Tego, *który sam jeden ma nieśmiertelność* (I Tym. 6, 16). Żadne strumyczki stworzonego istnienia nie wypływały jeszcze ze źródła wszelkiego bytu, tylko na wewnątrz Boga, w tem, co Apostoł nazywa *głębiną Bożą* (I Kor. 2, 10), przelewał się niepojęcie ocean nieskończonego życia i szczęścia z Ojca na Syna, *który jest na łonie Ojcowskiem* (Jan. 1, 18) i z obydwu na tego Ducha miłości, który kiedyś *wylany na wszelkie ciało,* miał *odnowić oblicze ziemi* (Dziej. 2, 17; Ps. 103, 30).

Że w tem życiu wewnętrznem Trójcy Przenajświętszej miała już pewien udział przyszła Matka Zbawiciela, jako przedmiot najmędrszych i najmiłościwszych przeznaczeń — o tem, drodzy sodalisi, mówiliśmy już w poprzedniej nauce. Dzisiaj pokażemy zkolei, jak obraz tej Przedziwnej i Nieporównanej, poczęty w głębinach myśli Bożej, zaczyna niejako wydobywać się na zewnątrz, jakby kwiat, co roztwiera zamykające go obsłony, i jak zaczyna zdaleka jeszcze i słabo, ale bardzo rzeczywiście rzucać pierwsze promienie na drogi, po jakich toczyć się miały dzieje świata.

Pierwsze objawienie Matki Najświętszej miało miejsce zapewne wśród zamętu tej straszliwej tragedji, jaka rozegrała się przed wiekami w samym przedsionku nieba, gdy Bóg wystawiał na próbę dopiero co stworzone przez Siebie duchy anielskie. Jeżeli Ojcowie Kościoła przypuszczają, że treścią tej próby był pokłon, jakiego zażądał od nich Stwórca dla Słowa Przedwiecznego, *obleczonego w postać sługi* (Filip. 2, 7), to bardzo prawdopodobną jest rzeczą, że obok obrazu Chrystusa ukazany został aniołom w oddali wieków obraz przeczystej Jego Matki. Cóż bowiem słuszniejszego, jak żeby aniołowie zwycięzcy ujrzeli od początku Tę, która miała być na wieki ich królową i czem lepiej się tłumaczy owa straszliwa nienawiść, jaką wedle Objawienia św. Jana, zionie *wąż starodawny* do *Niewiasty, obleczonej w słońce?* (12, 1—17).

Jakkolwiek jednak miałaby się rzecz z objawieniem Marji danem aniołom, jest rzeczą zupełnie pewną, bo nieomylnem słowem Bożem stwierdzoną, że w dzieje naszej ludzkiej rodziny wplotła się Matka Najświętsza od początku, i to w sposób tak potężny a tak słodki, że stała się od pierwszej chwili naszem kochaniem i naszą nadzieją. Bo kiedy w samem zaraniu swej historji, przez niewierność swego wspólnego rodzica, popadła ludzkość w tę niewymowną niedolę, jaką pociągnął za sobą grzech pierworodny, nie w innem imieniu złożył Bóg obietnicę i zadatek przyszłego odkupienia, tylko w imieniu Tej, do której już odtąd wzdychały, jeśli nie usta, to serca dzieci Adamowych: *Życie, słodyczy, nadziejo nasza, witaj!*

Jak dokonała się pierwsza ludzka próba i jak wypadł tragiczny jej wynik — to od pierwszych lekcyj katechizmu tkwi nam wszystkim w żywej pamięci. W wyobraźni dziecinnej wyrył się nam obraz węża, owiniętego o gałąź drzewa, z której spływa mnóstwo złotych i rumianych owoców; zdaje się nam jeszcze brzmieć w uszach, jakby słyszany za lat dawnych, złowrogi syk gadziny piekielnej: *Czemu wam przykazał Bóg?... Żadną miarą nie pomrzecie, ale otworzą się oczy wasze i będziecie, jak bogowie, wiedzący złe i dobre* (Rodz. 3, 1—5).

Ale jeżeli scena, jaka rozegrała się w raju, jest nam ze swej zewnętrznej strony od dzieciństwa znana i przytomna, to całe jej głębokie i tajemne znaczenie, pełne niesłychanej powagi i grozy, zaczęliśmy pojmować dopiero później, w miarę postępu

w zrozumieniu objawionej prawdy. Dopiero potrochu otwarły się nam oczy na tę zupełną niemal ruinę, w jaką przez grzech pierworodny popadł prześliczny gmach szczęścia, który Bóg rodzajowi ludzkiemu był zgotował, na tę bezprzykładną degradację, jaką na siebie i całe swe potomstwo ściągnął ten nieszczęsny pierwszy człowiek, który *kiedy był we czci, nie rozumiał i przyrównany jest bydlętom nierozumnym* (Ps. 48, 13).

Bo w rzeczy samej, pomyślmy tylko! Człowiek przed grzechem — to przedziwna istota stworzona w łasce i przez tę łaskę niejako spokrewniona z Bogiem, jasna, pogodna, szczęśliwa, niecierpiętliwa i nieśmiertelna, na duszy i na ciele pełna blasków niezrównanej piękności. Człowiek po grzechu, to jakby wyrzutek ze świętej rodziny dzieci Bożych, upadły i wzgardzony, na wewnątrz pełen brudu, zamętu i nieuleczalnej rozterki, na zewnątrz rzucony na pastwę cierpień, śmierci i wszelkiej niedoli. Człowiek przed grzechem — to ten urodzony król całego stworzenia, to ten pół anioł, pół genjusz, jakiego na sklepieniu kaplicy Sykstyńskiej wyczarował pędzel tytanicznego artysty. Człowiek po grzechu, to ten nędzny niewolnik, kryjący się w krzakach przed Bogiem, wykłamujący się z winy oskarżaniem drugich, ogłupiały, zdziczały i spodlony.

Ale i to, najmilsi moi, nie wystarczy, żeby zmierzyć całą głębię tej przepaści, jaką wykopał przed nami grzech pierwszego rodzica. Nie wystarczy, bo ponieważ w dziejach historycznej ludzkości nie było nigdy tego momentu, w którym grzech byłby wywarł wszystkie straszliwe swe skutki, w jakkolwiek czarnych barwach wystawiamy sobie postać i losy upadłego człowieka, zawsze jednak dochodzą do jego duszy dalekie choćby promyczki łaski i odbite blaski pierwotnego objawienia. Ale wystawmy sobie ludzkość tak, jak miała być po grzechu, gdyby nigdy nie miał był przyjść Chrystus Odkupiciel, w imię którego zsyłał Bóg miłosierdzie od początku, i gdyby zagasły były wszystkie światła nadprzyrodzone, jakiemi pierwotny plan Boży duszę i życie człowieka wyposażył.

O drodzy moi, jaka bezdeń nędzy! Nie da się z nią porównać ani ciemnota i grubość moralna najpierwotniejszych mieszkańców jaskiń i nadwodnych osiedli, ani dzikość barbarzyńskich, ludożerczych plemion, ani ten okropny stan obyczajowy ogółu pogan początku naszej ery, o których mówi św. Paweł: *gardło*

ich jest grobem otwartym, jad żmijowy pod ich wargami, nogi ich prędkie ku rozlewaniu krwi, pełni wszelkiej niesprawiedliwości, bezrozumni, nietowarzyscy, nieprzejednani, niemiłosierni (Rzym. 1, 29—31; 3, 13—15). Gdyby nad nieszczęsną, upadłą ludzkością nie była zaświeciła nadzieja odkupienia, bylibyśmy istotnie, jak mówi psalmista, stali się podobni do dzikich zwierząt, którym resztki rozumu byłyby tylko okazją cięższej zguby; gdyby Bóg nie był się zmiłował nad swem biednem, chociaż niewdzięcznem stworzeniem, całe potomstwo Adama byłoby się zamieniło w ową straszliwą, jak ją nazywa św. Augustyn, *massa damnata*, t. j. w ten zbity tłum istot ludzkich, które w tem życiu tocząc się coraz niżej i niżej po drogach pełnych łez i krwi i błota, po śmierci spadałyby bez ratunku w otwartą otchłań piekielną.

To byłby sprawił w ludzkości grzech pierworodny, gdyby nie *wnętrzności miłosierdzia Boga naszego, przez które* miał nawiedzić *nas Wschód z wysokości* (Łuk. 1, 78). Rodzaj ludzki samochcąc rzucił się w zgubę, ale Bóg go podźwignął. Jak ten ojciec najlepszy, który jeszcze nie zdążył się zgniewać, a już się lituje, tak najsłodsze Serce Boże w samej chwili dokonania niegodziwego występku, snuło już plany przedziwnego miłosierdzia. A jako pierwszy wyraz tego miłosierdzia znalazło się na ustach Bożych jedno imię, w którem istotnie zamyka się wszystko, co w świecie czystych stworzeń nazywa się dobrocią, łaskawością i słodyczą. Gdy Bóg odezwał się do upadłej ludzkości pierwszem słowem ojcowskiego przebaczenia, treścią tego słowa było jedno tylko, t. j. błogosławiona Matka Zbawiciela. *Położę nieprzyjaźń między tobą a między Niewiastą* — mówi Bóg do triumfującego szatana — *a ona zetrze głowę twoją.*

Czy nie słusznie, moi najmilsi, mówi prorok o przedziwnych *wynalazkach* dobroci Boga naszego? (Iz. 12, 4). Czy mogła ta dobroć objawić się nam w sposób słodszy i zrozumialszy dla biednego, słabego naszego serca?

O doprawdy *zna Bóg utworzenie nasze!* (Ps. 102, 14). Jak chorego, spłakanego dziecka nic i nikt pocieszyć nie może, tylko jedna matka, tak upadłemu człowiekowi o Matce mówi obietnica Boża. »Ty wprawdzie musisz wyjść z raju rozkoszy, musisz pójść na pracę i cierpienia i przeróżne niedole, ale pamiętaj: Matka przyjdzie do ciebie, która twoje łzy osuszy, twe nędze i choroby uleczy. A ta Matka będzie tak potężna, że pod Jej płaszczem

znajdziesz zawsze bezpieczne schronienie. Bo patrzaj tylko! Wszystko złe, jakie cierpisz — to dzieło tego złego ducha, który cię podszedł i zgubił. A oto między Nią, między Niewiastą a wężem piekielnym nieprzejednana nieprzyjaźń! On nie ma w niej nic swojego, on ani stopy Jej dotknąć nie może, a Ona przeciwnie głowę jego zetrze tak, że nie podniesie się już nigdy. Więc ufaj człowiecze i nie zapominaj nigdy, że dłoń Matki cię wydźwignie, choćbyś zeszedł na samo dno przepaści nędzy«.

Tak zdawał się Bóg mówić do pierwszych rodziców, gdy smutni i znękani, w odzieniu ze skórek zwierzęcych, opuszczali bezpowrotnie bramy raju rozkoszy. I zabrał człowiek ze sobą tę Bożą zapowiedź na wielowiekową wędrówkę po ciernistych drogach ziemi. Nietylko w wierze wybranego ludu, ale w starych podaniach przeróżnych pogańskich plemion można odnaleźć ślady tej mętnej nieraz, ale niezachwianej nadziei, że przyjdzie kiedyś ratunek przez Niewiastę, że dłoń Matki otrze spłakane oczy i uznojone czoła.

Lecz głębiej jeszcze niż w sercu ludzkości zapisała się ta rajska obietnica w sercu Tego, który ją dał, w sercu Bożem. W planach Bożych zawiązał się odtąd jakiś nowy stosunek między ludzkością a Marją; Matka Najświętsza jakby tęcza przymierza zawisła nad nieszczęśliwą ziemią. I podobnie jak patrząc poprzez wieki na przyszłą krew Syna, zsyłał Bóg rodzajowi ludzkiemu potrzebne łaski, tak też spoglądając na serce przyjść mającej Matki, przebaczał grzesznym Jej dzieciom. *Będzie łuk na obłokach i wspomnę na przymierze wieczne i żadną miarą nie będzie więcej zagubione wszelkie ciało* (Rodz. 9, 16. 11).

Ale ten sam wyrok Boży wyrył się ponad to wszystko w jednej jeszcze pamięci. Wąż słuchał i słowa Boże jakby żywym ogniem wypalane, zapisywały się w jego sercu. On sądził, że jest już zwycięzcą, gdy rodzaj ludzki w samej jego głowie oszukał i zgubił, a tu słyszy, że z samej tej grzesznej rodziny ma wyjść, i to nie mąż, ale słaba niewiasta, która zetrze głowę jego na wieki. *I rozgniewał się smok na niewiastę* — powiada Objawienie — *i poszedł, aby walczył z nasieniem jej* (Obj. 12. 17). Tak jest, w sercu upadłego anioła rozpaliła się przeciw Marji nienawiść tak straszna, że prawie równa nienawiści do Boga i Chrystusa, a nienawiść zmieszana z taką zabobonną trwogą, z jaką dzikie zwierzę spogląda na swego pogromcę. *I poszedł, aby wal-*

czył z nasieniem Marji — w tej olbrzymiej walce, jaką piekło toczy przeciw Królestwu Bożemu, przybyła szatanowi jeszcze jedna pobudka zawiści i gniewu, że przyszłe dzieci Boże są też dziećmi miłości i opieki Najświętszej Panny.

Ta wiekowa walka, jak dobrze wiemy, moi drodzy sodalisi, trwa dotąd, a my jesteśmy niejako na środku pola bitwy. Bo my przedewszystkiem jesteśmy dziećmi Matki Zbawiciela, my najbliżej stoimy błękitnego Jej sztandaru. Cóż więc dziwnego, że na nas kieruje się największa całego piekła nienawiść, cóż dziwnego, że tyle mamy do cierpienia i do walki i z własną naszą słabością i z otaczającym nas światem?

Ale ufajmy, bo w tej samej obietnicy Bożej jest jedno jeszcze zdanie, pełne najsłodszej otuchy i pociechy. Gdy Bóg powiedział, że położy nieprzejednaną nienawiść pomiędzy Niewiastą a wężem, dodaje zaraz, że ta sama nienawiść zapanuje między *nasieniem węża* a *nasieniem Niewiasty*. Nasienie Marji to przedewszystkiem Chrystus, ale z Chrystusem i przez Chrystusa należymy do tego nasienia my wszyscy, którzy trzymamy się Jego Matki, Jego wiary i łaski. A więc, jeżeli tylko zechemy być Jego Matki, Jego wiary i łaski. A więc, jeżeli tylko zechcemy być głęboka, niczem nie zarównana przepaść i w nas, jak w Marji, nie będzie on miał żadnej cząstki na wieki.

A więc, Panienko Najświętsza, o jedno Cię prosimy, niech będziemy dziećmi Twojemi naprawdę i na zawsze! Dużo jeszcze przed nami mozolnej ziemskiej pielgrzymki, dużo tych prób i cierpień, które *wygnani synowie Ewy* znosić musimy. Ale jeśli Ty nas nie opuścisz i nie pozwolisz, byśmy oderwali się od Ciebie, to żadne walki i burze nam nie zaszkodzą i jak zajaśniałaś niegdyś nad rajem ziemskim pierwszą nadzieją, tak w raju wiecznym zaświecisz nam najsłodszą i niegasnącą nagrodą. Amen.

Drukarnia »Przeglądu Powszechnego«.